



№ 44.

Prenumerata w Warszawie:  
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 31 październ. 1868r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-  
sarstwie w osobnych kopertach:  
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

**Treść numeru.** Książ Stanisław Giebułtowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Maż upatrzony, powieść z życia w dwóch częściach, p. Jana Zacharyasiewicza (dalszy ciąg, z pięcioma drzeworytami). — Garkuchnie tanie czyli ludowe. — Ze świata muzycznego. — Rysunki humorystyczne (drzeworyt). — Przejazd przez szczyty Kaukazu, skreślił Kazimir Łączyński (dokończenie). — Partya Guioco PIANO. — Rebus. — Kronika zagraniczna p. J. I. Kraszewskiego. — Silni i słabi, powieść (dalszy ciąg).

### Książ Stanisław Giebułtowski.

...novissima in luce desideravere oculi tui.  
Tacyt. Agricola.

Temi słowy najznakomitszego historyka rozpoczynam wzmiankę o życiu człowieka, który również jak ów Agricola Tacytowski, nie wrzawą i rozgłosem, ale cichym żywotem, pełnym cnót i szczerých zasług, stał się godnym powszechnego szacunku i czci jaką go wszyscy jego znajomi otaczali.

Książ Stanisław Giebułtowski urodził się w Krakowie 21 maja 1835 roku. Pachołące lata spędził w mieście rodzinném, pod okiem zacnego ojca (urzędnika w b. senacie rzpltej krakowskiej) i kochającej go serdecznie matki, z których serce czerpał obfity zasób uczucia i cnoty na drogę pracowitego żywota.

Wrażenna dusza Stanisława nie mogła pozostać obojętną pośród uroczysk krakowskiej ziemi. To téż od czasu w którym go poznałem, a miał wtedy lat około 10, widziałem w nim chłopca pełnego rzewnych myśli, pragnącego gorąco poznać wszystkie szczegóły starożytnych pamiątek. W szkole spokojny i cichy, nie lgnął on do téj krzykliwej szkolnej braci, która więcej o figlach niż o książkach rada myśleć, i był ulubieńcem nauczycieli, lubo nie należał wcale do najpięrszych uczniów. Wrodzone zdolności umiał potęgować nadzwyczajną pilnością, a niektórym przedmiotom, jakoto literaturze polskiej i historii, oddawał się z rzadkiem zamiłowaniem.

Po ukończeniu ośmioklasowego gimnazjum w Krakowie i złożeniu egzaminu dojrzałości, przeszedł na uniwersytet w r. 1852 i zapisał się na

wydział prawny; zdaje się bowiem, iż było życzeniem jego ojca, aby i syn wstąpił na drogę urzędowania. Ze zaś Stanisław nie miał najmniejszej skłonności do zawodu biurowego, pokazuje się ztąd, iż po ukończeniu czterech lat prawa, przeszedł na teologią.

Na uniwersytecie Jagiellońskim, w czasie kiedy śp. Stanisław słuchał prawa, znajdowało się wielu słuchaczy, którzy dziś znakomite w nauce zajmują stanowiska. Jako bliższych kolegów Stanisława wymienić tu mogę pp. Kasznicę, profesora i dziekana szk. Główn. w Warszawie, Zolla Fryderyka, profesora w uniwersytecie Jagiellońskim, hr. Wodzickiego Ludwika, członka delegacyi w radzie państwa, Edwarda Lubowskiego, Michała Bałuckiego, oraz Józefa Szujskiego, znanego dziś zaszczytnie historyka i poetę. Wszyscy ci wówczas młodzi akademicy, żyli w serdecznej przyjaźni z księdzem Stanisławem, a Szujski szczególnie, do którego poetyczna dusza Giebułtowskiego przylgnęła najgoręcej, stał się i nadal jego najpięrszym i prawdziwym przyjacielem.

Jeszcze w 8-ój klasie będąc, dał się już poznać śp. Stanisław ze zdolności poetyckiej; zapytany bowiem przez profesora propedeutyki Sawczyńskiego, *co to jest człowiek?* odpowiedział rymem:

Duch nieskończony — i znikoma bryła,  
Choć syn ucisku — od niebios kochany,  
Wielka w nim niemoc, niezmiernona  
[siła,  
Pięrszy pan ziemi, jój pięrszy pod-  
[dany.

Na wydziale prawnym znanym był także między kolegami z łatwości pisanja wierszy, lecz mimo częstých namów, nigdy się na ich ogłoszenie nie odważył. Ta skromność autorska, utrudniająca biografowi wykazanie jego właściwych zalet i zdolności, mogłaby niejednemu ze szturmujących dziś wyżyny Parnasu za wzór posłużyć. Przedmiotem Giebułtowskiego były po największej części dzieje i tradycje ludowe. Z dziejami zapo-



Ks. Stanisław Giebułtowski. (Rysował z natury Jan Matejko)



znawał się czytaniem nieustannem dzieł prawdziwą wartość mających, których mu Jagiellońska biblioteka obficie dostarczała. Z upodobania tego w czytaniu, wyrodziła się w nim myśl urządzenia biblioteczki wydzielonej na uniwersytecie, do której też wypracowany projekt znaleziono w pozostałych po nim papierach. Myśl ta dojrzała w czyn. Dziś wydział prawny ma już swoją własną i dosyć nawet bogatą biblioteczkę.

Podania ludowe zbierał skrzętnie, i albo sam opracowywał je w legendycznej formie, albo też udzielał ich jako wątki do pisania swoim kolegom. W tym względzie wielce przychylną dla ś. p. Stanisława okolicznością były stosunki rodzinne, skutkiem których bogatą w tradycje okolicę Wiśnicza mógł zamieszkiwać i poznać dokładnie. Przebywając pod murami zamku wiśnickiego i badając charakter mieszkańców tamtych okolic, poznał ś. p. Stanisław przymioty i usterki ludu naszego doskonale, a po tej dyagnozie wiedział dobrze, jakiego potrzeba dlań lekarstwa. Ludowa poezja poruszyła najsilniej struny jego serca; to też z prac pozostałych po nim znać najwięcej zamiłowania i talentu w tym rodzaju literatury. Na dowód przytoczyć tu mogę ładny wiersz jego w formie krakowiaka, napisany w epoce przejścia Stanisława na teologię, p. n. *Skąły Mnikowski*.

Oj wyniosłeś i uroczę te mnikowskie skały,  
Że się człowiek między niemi taki widzi mały,  
Jakby mu już na tej ziemi prochem zostać tylko  
I przemodlić i przetęsknić życie jedną chwilką.  
Wiankiem w okół okrażyły zakątek uroczy,  
Jakby chciały go zasłonić przed ludzkimi oczu.  
Nieraz znowu w wieczór letni zda się że te skały  
Ciche modły ślą za nami, jakby serce miały;  
Bo gdy wietrzyk o zarośla skrzydłami uderza,  
Zda się w górę ulatuje cichy szept pacierza.

Po ukończeniu wydziału prawnego z bogatym zasobem wiedzy, jak powiedzieliśmy, przeszedł na teologię.

Nie miał on zamiaru zostać takim księdzem, jak ci, którzy w braku ochoty lub zdolności do nauk, ścisłego egzaminu dojrzałości zdać nie mogąc, cisną się tłumami do seminarjów i wychodzą po latach czterech kapłanami mającymi przyświecać ludowi. Giebułtowski pojmował owszem dobrze zawód kapłański, utrzymując że na wydział teologiczny przyjmować należy najzdolniejszych tylko i najpilniejszych. Powziąwszy też oddawna zamiar poświęcenia się stanowi duchownemu, ukończył piérwój uniwersytet i wyposażył umysł potrzebnymi wiadomościami. Oto ustęp z piosenki napisanej w chwili wnijścia jego do seminarjum:

W Pańskiej zbierzmy się winnicy,  
Czynów naszych czeka lud,  
A nas czeka, robotnicy,  
Znój i trud.

Świat miłujmy, bliźnim wierzmy,  
Na świat zwiejmy piękna woń,  
I z miłością wraz uderzmy  
W bratnią dłoń!

Na wydziale teologicznym, który kończył w seminarjach krakowskim i tarnowskim, pracował nad wydoskonaleniem się w języku włoskim, a posiadając gruntownie język francuzki i niemiecki, rozczytywał się w dziełach mających związek z naszymi dziejami. Znajomość języka włoskiego posłużyła mu do przełożenia na język polski dzieł Kalimacha Buonacorsi'ego, który to przekład, przygotowany do druku, pozostaje dotąd w rękopisie. W ogóle mówiąc, pięknie i rozumnie gotował się ś. p. Stanisław do przyszłych obowiązków kapłana, zawód duchowny poczytując dla siebie za prawdziwe powołanie, nie zaś za rzemiosło, za swobodny sposób utrzymania. Wyświęcony na kapłana 8 maja 1860 roku, odbył uroczyste prymicie w kościele swego patrona na Skałce w Krakowie i wierny swym dążnościom, oraz zamiłowany w nauczaniu siebie i drugich, podjął się zaraz obowiązków katechety w świeżo założonej szkole rolniczej w Czernichowie pod Krakowem. Do dziś dnia z uwielbieniem wspomina każdy Czernichowianin o dwuletnim pobycie w tej szkole ks. Giebułtowskiego. Młodzież jego nauce powie-

rzona odnosiła prawdziwe korzyści, a prócz tego nabiérała ochoty do pracy i hartowała ducha do wytrwania w walce ze światem. Nie surowością, nie pedanterią zyskiwał on sobie serca swoich uczniów, lecz przywiązywał ich do siebie braterską prawdziwie miłością i łagodnością, cechującą ludzi wyższych rozumem i wiedzą.

Dwa lata spędzone przez Giebułtowskiego w Czernichowie, przyniosły istotną korzyść zakładowi rolniczemu; to też ze szczerym żalem żegnała młodź swego ulubionego katechetę, odjeżdżającego do Krakowa.

W Krakowie był wikaryuszem w parafii Wszystkich Świętych przy kościele Śgo Piotra. Tutaj zajmował się wiele przygotowaniem prac swoich do druku, a mianowicie wykończył rozprawy teologiczno-moralne, stanowiące osobny tom rękopisów. Wiérsze do tej epoki odnoszące się nacechowane są prawdziwą religijnością, a zarazem pełne wzniosłych i głębokich myśli.

W r. 1864 został proboszczem w Raciborowicach, dokąd pośpieszył z bijącym sercem i nadzieją że spełniać tam będzie najmiłsze dla siebie obowiązki nauczania i umoralniania ludu. Znał dobrze lud, jego zwyczaje i usposobienia, jego zalety i wady; to też wyborym był jego pasterzem, z doświadczeniem łącząc wykształcenie własne i serce pełne poetycznych a wzniosłych i szlachetnych uczuć. Wkrótce stał się ulubieńcem swych parafian, którzy z prawdziwą radością i ochotą śpieszyli na jego nauki lub kazania.

Niedługo jednak cieszyć się mieli mieszkańcy Raciborowic swoim zacnym i kochanym kapłanem. Rok za ledwie na pożądanym przebywając stanowisku, zapadł w słabość, jak lekarze utrzymują, sercową, i po niedługich cierpieniach, przewieziony do rodzinnego swego do Krakowa, zmarł z 12 na 13 kwietnia 1866 roku.

Książd Giebułtowski nie był literatem z powołania, ale całe życie pracował około literatury i pisał wiele daleko lepszych rzeczy od tych, jakie dziś niektórzy drukują. Z korespondencji jego z Brunonem Bielawskim, zmarłym także zawczasie poetą i redaktorem *Dzwonka*, widać że ks. Giebułtowski do tego ludowego pisemka, (wydawanego we Lwowie) swymi pracami się przyczyniał; lecz że się nie podpisywał, więc imię jego nie było głośnym nigdy.

Zasiłał też czasami pismo ludowe „Gwiazdkę cieszyńską“, na Szlązku austriackim wychodzącą.

W samą pełnię życia, w połowie dni żywota, zagasły oczy jego pogładające ciągle w niebo i wyczekujące z tamąd promyka szczęścia i nadziei.

Umarł prawie na rękach swego od lat dawnych przyjaciela Jana Matejki, znakomitego malarza, któremu całą świetną a spełniającą się dziś przyszłość przepowiedział w wierszu pozostałym w rękopiśmie.

Wydanie pozostałych po ś. p. księdzu Giebułtowskim rękopisów (\*) wkrótce może zapozna bliżej czytelników z jego zdolnościami, które nie były wspólne i rokowały mu piękną przyszłość. Jest tam poemat większy p. t. *Marzyciel*; są poezje drobne pod ogólną nazwą *Pamiętników*; wiele rozpraw teologicznych; scena z dramatu historycznego z czasów Stanisława Augusta p. n. *Wyprawa*; poemacik z dziejów Rzymu p. t. *Kurcyusz*, oraz mnóstwo szkiców niewykonywanych, myśli, urywków i t. p. Wszystkie te prace dowodzą niezmiernie czynnego i twórczego umysłu, a zapoznanie się z niemi tém większym przejmuje żalem nad stratą tak zawczesną. Nie wielu jemu podobnych mamy kapłanów, niewielu piszących poszczycić się może podobną jak on skromnością.

J. K. Turski.

## Kronika tygodniowa.

Idąc z biegiem ruchu miejskiego, trzeba chyba każde obecne sprawozdanie zaczynać od wspomnienia o pani *Modrzejewskiej*.

Rzeczywiście karta z napisem „wszystkie bilety

(\*) Wszystkie te rękopisy posiadam obecnie u siebie, otrzymany od rodziny zmarłego zleceniem przygotowania ich do druku.

(Przyp. autora życiorysu).

przedane“ za każdym prawie wystąpieniem tej artystki pojawia się na zamkniętych drzwiach kasy Wielkiego teatru.

Trudno zaiste uwierzyć, jak gorąco bilety rozchwytywane bywają. Na tydzień, na dziesięć dni przed przedstawieniem komedii lub dramatu zapowiedzianego, idą już zamówienia, a ci którzy nie potrafili docisnąć się do kupna, są w prawdziwej rozpacz.

Podobno na benefis pani *Modrzejewskiej* ma być zagrana komedya „*Nasi najserdeczniejsi*“ (Nos intimes) *Wiktoryna Sardou*. Komedya tę oddawna już przygotowywano na scenę. Rzecz zahaczała się tylko o słabość *Żółkowskiego*, który uległ chronicznym cierpieniom, zwykle o tę porę u niego pojawiającym się, chociaż tym razem zło się srożyło z większym niż to dawniej bywało nateżeniem.

Ale *Żółkowski*, dzięki Bogu, zdrowszy już, a w każdym razie z komedya o której mowa rzecz już zdecydowana.

Była wprawdzie wzmianka i o dramacie, ale dramat potrzebuje koniecznie dłuższego czasu do nauki, a tu trzeba wystąpić z nowością.

Zresztą, jak wiadomo, rzadko się u nas zdarza żeby repertoar z góry ułożony mógł się utrzymać; przez słabość bowiem tego lub owego artysty, sztuka choćby najlepiej wyuczona, staje się niemożliwą.

W układanym naprzykład z góry programacie wystąpień pani *Modrzejewskiej*, było wskazanych kilka sztuk, które potem trzeba było wykluczyć zupełnie.

Wprawdzie publiczność nie straciła na tém, powtarzają się bowiem zato sztuki które większe od innych uzyskały powodzenie, sala zaś teatralna nie jest tak obszerna, żeby pomieścić mogła naraz wszystkich, którzy pragną widzieć utalentowaną artystkę.

A zresztą, są i tacy, a jest ich nawet niemało, którzy postanowili bezwzględnie żadnego z dwunastu przedstawień nie opuścić; ci więc mniej zważają na sztukę, bo idą głównie dla gry, a gra na powtórzeniu jednej i tej samej roli nie traci, owszem zyskuje nawet.

Koniec końców, widoczne jest w tej chwili w Warszawie roznamiętnienie do teatru i cieszymy się bardzo z tego.

Zauważyć przytém się godzi, że sztuki poważne zyskują coraz więcej stronników; publiczność na nich uczy się słuchać i oceniać lepiej wzorową grę takich artystów, jak *Królikowski*, *Rychter* i t. p.

Szczególniej zachowanie się paradyzu w tych czasach godnym jest uznania. Znikły owe niewczesne brawa w ciągu sztuki, w środku wypowiedzanego frazesu nawet; publiczność z milczeniem pełnym szacunku śledzi wyborową grę znakomitszych naszych artystów i stara się nic nie stracić z efektów scenicznych, długimi wyrobionymi studjami.

Jest to postęp prawdziwy i dowodzi pewnej dojrzałości w zapatrywaniu się na sztukę. Nie przeszkadza to bardzo głośnym oznakom zadowolenia, które po skończeniu aktu albo sztuki przełamują już wszelkie zapory i głośnym w całej sali odzywają się echem. Ale te objawy nikomu nie stają na przeszkodzie, a za pracę artystów są słuszną nagrodą...

\* \* \*

Boć o inną marzyć i trudno, rzadko się bowiem zdarza aby długoletnią nawet pracą artysta mógł sobie zapewnić dobrobyt materyalny, któryby mu dozwolił bez troski pożądaných chwil wywczasu używać.

Ot żywy przykład mamy przed oczami.

Znacie przecież wszyscy *Stanisława Bogusławskiego*, artystę-emeryta i autora wielu komedij, które na scenie naszej stałem, a w wielu razach świetnym cieszył się powodzeniem.

Złamanemu dzisiaj wiekiem i pracą autorowi *Krewnych* i *Opieki wojskowej*, przygniecionemu troskami rodzinnymi, przychodzi nieraz ciężko zabiegać, żeby uczynić zadość obowiązkowi, jakie w miarę ubiegich lat zamiast umniejszać się, wzrastają u ludzi z pracy żyjących.

Utalentowanemu autorowi, zasłużonemu artyście dramatycznemu, należy się dowód współczucia od tych, których tylekroć rozweselał swoimi o utworami pełnymi rodzimego dowcipu, w których nieraz



przychodziło mu samemu odegrać z powodzeniem rolę.

Otóż najjawniej tego współuczucia dowieść może publiczność tutejsza przez rozkupienie biletów na przygotowywany się na dochód Bogusławskiego koncert, w którego części deklamacyjnej, jak nas upewniano, pani Modrzejewska i Królikowski główny udział wziąć mają.

Termin tego koncertu bardzo podobno niedaleki i za kilka dni już zapewne stanowczo oznaczonym będzie.

\* \* \*

Chodzą także wieści o innym koncercie, który ma mieć miejsce na dochód pana Świeszewskiego.

Artysta ten, z takim powodzeniem, zwłaszcza w sztukach Fredry, odgrywający rolę pierwszych kochanków, potrafił już sobie zjednać u nas sympatyą publiczną i dzisiaj odwołuje się do niej.

Pamiętać trzeba że rodzaj ról jakiemu się pan Świeszewski głównie poświęcił, wkłada na artystę niemałe ciężary materyalne, częstokroć bardzo trudne do stawienia im czoła.

Rzeczywiście sam ubiór pierwszego kochanka, który go stawia w możności wiernego odtwarzania przedstawianych postaci, pochłaniać musi znaczną część dochodu, jaki sobie pracą i talentem zapewnić zdołał.

Niekażdy się domyśla ilu to czasem ofiarami okupić trzeba ten pozór wytwornej świetności, który do złudzenia dopomaga.

Niestety, życie artystów jest nieraz pasmem takich ciągłych sprzeczności między rzeczywistością a odtwarzaniem jej sztucznym. Więc chwilowe objawy sympaty jakich doznają, a które właśnie dla nich najdotykalniej się obrazują, można uważać za słuszne wynagrodzenie tego ich meteorycznego zawodu, którego ślad promienisty, natężonem błyszczącym światłem, tak szybko jednak znika.

\* \* \*

Powinienbym wam może wspomnieć o odbytych przed kilku dniami próbach nowej sikawki do gąszenia pożarów, ale wyręczyły mnie pod tym względem gazety, które cały przebieg prób, oraz dokładny opis sikawki zamieściły.

Wynalazki i ulepszenia tego rodzaju stanowią największy może zaszczyt epoki w której żyjemy. Dziś, kiedy tak ze wszystkich stron mnożą się ulepszone środki niszczenia, należałoby mieć wzgląd szczególnie na to, co posłużyć może do zachowania życia i dobytku ludzi, do powstrzymania tych strasznych klęsk, których wybuchu przewidzieć niepodobna, a których doniosłość i zniszczenie jakiego stają się powodem, tylko szybka i skuteczna pomoc ograniczyć zdoła.

U nas urządzenia pod tym względem są prawdziwie wzorowe, i przy pożarach w ostatnich czasach wybuchłych dowodnie o tym przekonać się było można.

Podobno sikawka o której mowa ma być zastosowana do posługi tutejszej straży ogniowej; byłoby jednak pożądanem, żeby tutejsi właściciele domów chcieli się zaopatrzyć w ten tak użyteczny a niekosztowny przyrząd, tém bardziej iż podobno niektóre towarzystwa ogniowe zniżają składkę roczną od tych nieruchomości, które udowodnią iż posiadają taką sikawkę.

\* \* \*

Otrzymałszy list, który do znaniej już kwestyi właścicieli domów i lokatorów, wtrąca nowi komplikacją, główną część winy i niekorzystnego stanu rzeczy trzeciej stronie przypisując.

Czytelnicy osądzą.

Panie kronikarzu.

Że właściciele domów nadużywali swojej powagi i przewagi w niektórych razach, to kwestyi nie ulega, lecz że bardziej jeszcze lokatorowie byli przyczyną nader częstych nieporozumień, nie tylko takich jakie do twojej wiadomości doszły, lecz i takich o których żadne ucho nie słyszało, to jest nieomylną i na każdym kroku udowodnioną prawdą.

Artykuły z którymi pisma peryodyczne występowały w różnych czasach przeciwko właścicielom domów,

zdyskredytowały zupełnie tych ostatnich w oczach publiczności czytającej, i dzisiaj trudno zaprawdę podeprzeć ich dobrą sławę.

Lecz jeżeli bezstronnym być pragniesz, panie kronikarzu, i jeżeli idzie ci tylko o słuszne wyjaśnienie rzeczy, to chciej dać posłuchanie prawdzie jasnej jak słońce.

Już to właściciele domów znani są powszechnie ze swoich nadużyć, przedmiot ten bowiem obrobiony został we właściwym czasie przez cały zastęp prasy peryodycznej; że zaś lokatorowie więcej jeszcze poczynili nadużyć, to kwestya stwierdzona faktami, o których przez delikatność tylko milczą kroniki. Najwięcej jednak zadziwia wszystkich uzurpatorów praw obywatelskich, jakoteż i ich współtowarzyszów jednego dachu (lokatorów) ta okoliczność, że żadne jeszcze z pism peryodycznych nie podniosło głosu przeciwko nadużyciom znacznej części kapitalistów (gdyż i tu są wyjątki).

Zkądże, pytam, pochodzi to wiedne albo bezwiedne holdowanie enocie, która nie myśląc i nie pracując, każe sobie składać tłustą daninę z ofiar właścicieli domów i lokatorów społem?

Gdybym był Jeremiaszem, dałbym tutaj folę załom moim, z powodu że kapitaliści, ów zastęp opatrzonych brzęczącą monetą siłaczy, odarli i wyniszczyli to wszystko, co mogło być dźwignią dla wielu.

Cóż tedy robią owi Gordyasze naszego wieku, których bóstwem i ideałem są pieniądze, a potęgą i zbroją wyrazi: „chcę tyle“ lub „dam tyle“?

Nie poprzestają oni na normie procentów dotychczas pobieranych, ale żądają 10 lub 15 od sta, w razie przeciwnym grożąc ruiną, czyli subhastacją nieruchomości.

Niesforni właściciele domów, którzy považają się oprócz tym przesadzonym żądaniom, widzą w krótkim czasie własności swoje rzeczywiście wystawione na subhastację. *Sapienti sat.*

\* \* \*

On miał majątek, ona... wdzięki; znali się tylko listownie, a korespondowali za pośrednictwem ogłoszeń gazeciarskich, naturalnie zagadkowo redagowanych. Z tego wszystkiego zrobiło się małżeństwo...

Wypadki tego rodzaju, dość częste za granicą, i u nas zaczynają powoli wchodzić w użycie.

Niema jeszcze wprawdzie w Warszawie formalnego kantoru małżeństw, ale istnieją już pokątni pośrednicy, którzy bardzo energicznie, za pewnym naturalnie z góry oznaczonem wynagrodzeniem, zabięrają się do dzieła.

Mógłbym wam przytoczyć fakta, ale poco? Rzecz ta przychodzi z konieczności, bo sprawa która oporem idzie, musi znaleźć pomoc gotową.

Naturalnie że za taką pomoc płacić trzeba. Ostrzegamy jednak tych panów, że we Francji w tych czasach, w kilku procesach przez pośredników małżeństw wytoczonych, odsądzono ich od wygórowanych żądań.

Mógłby łatwo taki sam wypadek i u nas się zdarzyć.

## Przegląd polityki zagranicznej.

30 października.

Wzniesienie obaw wojennych i uspakajanie opinii publicznej za pomocą zbijań i zaprzeczeń, stało się od dwóch lat ulubionem zajęciem dziennikarzy. Na korzyść tych ostatnich dodać jednak należy, iż nie tworząc bynajmniej położenia, są tylko zwierciadłem odbijającym dokładnie chwiejny stan europejskiego społeczeństwa. Od czasu nieprzewidzianych zwycięstw pruskiego oręza, od czasu jak mocarstwa na wyścigi uzbrajać się zaczęły, opinia, słusznie czy niesłusznie, nie chce wierzyć aby ostateczne zatwierdzenie trymfów pruskich odbyć się mogło bez ponownego dobycia miecza. Z uwagi wszakże że Anglia i Rosya dążą do neutralności, że Austria i Włochy zbyt są słabe i niezdolne do inicjatywy, ogół upodobał sobie myśl koniecznej rozprawy Francji z Prusami. Około tej zasadniczej osi obracają się od

dwóch lat wszelkie przypuszczenia i pomimo ciągłych zaprzeczeń to pruskiego, to francuzkiego rządu, chętną znajdują wiarę. Ten stan opinii publicznej przetrwał do ostatniej chwili. Napróżno lord Stanley głosi mowę pokojową, napróżno rząd francuzki sporządza mapy Europy, mające dowieść, że Francya pod obecnem panowaniem jest silniejszą jak kiedykolwiek: dzienniki nie wierzą tym pokojowym zapewnieniom, nie wierzą zaś dlatego, iż na nieszczęście, obok dążeń pokojowych, prasa półurzędowa nie szczędzi pogrózek przeciwnikom. Etendard rozpuścił wiadomość, jakoby gabinet duński wystąpił z notą domagającą się od Prus wykonania warunków traktatu pragskiego, dotyczących Szlezewigu północnego. Wieść ta wywołała silne wrażenie, okazała się jednak mylną, gdyż, według zapewnień France, między Berlinem i Kopenhagą oddawna już żadnej wymiany not nie było. O projekcie cesarza Napoleona, dotyczącym kongresu, niema wzmianki i wszelkie w tej mierze pogłoski ucichły; zato idea przymierza z Włochami coraz więcej zyskuje pola. Zapewniają że ostatnia podróż księcia Napoleona do Włoch miała na celu układy z królem Wiktorem, na mocy których Francya opuścił wkrótce Rzym, pozostawiając Włochom otwartą do wiecznego miasta drogę. Mówią także iż samo miasto Rzym ogłoszone zostanie wolnem, a reszta dzierżaw papieżkich do Włoch przyłączoną będzie; byłoby to wszakże połowicznem tylko załatwieniem tej ważnej kwestyi i dlatego uważamy tę pogłoskę za zupełnie błędną. Ozmianach ministeryalnych we Francji i powrocie do systemu parlamentarnego, nic dotąd nie słychać pewnego.

Po rozwiązaniu się dobrowolnem wszystkich junt w Hiszpanii, cała władza i odpowiedzialność spoczęły w rękach rządu tymczasowego. Ten ostatni pośpieszył zaraz z ogłoszeniem dwóch manifestów: do mocarstw zagranicznych i do ludu hiszpańskiego. Najbliższym skutkiem pierwszego było uznanie rządu tymczasowego przez niektóre z mocarstw europejskich. W rzeczy samej dzienniki madryckie donoszą, że oprócz Stanów Zjednoczonych, Francya, Anglia i Marokko uznały rząd tymczasowy i że uznanie ze strony Włoch lada chwila jest spodziewane. Nawet nuncyusz papieżki oświadczyć miał iż pragnie utrzymać dobre z Hiszpanią stosunki. W odzwie swęj do ludu, rząd tymczasowy ogłasza, iż przyjmuje w zasadzie wszelkie reformy przez junty ogłoszone. Do rzędu takich reform należą: 1) głosowanie powszechne, jako uwydatnienie wszechwładztwa ludu; 2) wolność nauczania; 3) wolność druku, zgromadzeń i stowarzyszeń pokojowych. W końcu manifestu rząd tymczasowy dodaje, że usposobienie junt było przyjaznem dla idei monarchii konstytucyjnej, że niebrak także poważnych głosów przemawiających za rzecząpospolitą, lecz że rozstrzygnięcie tej kwestyi rząd pozostawia ludowi, który głosowaniem powszechnem wyrazi rzeczywistą swą wolę.

Pomimo wyrzeczenia p. Beust, że Rumunia jest arsenalem pełnym niebezpiecznych dla pokoju pocisków, dzienniki zagraniczne nie mogą dać dokładnego sprawozdania z rzeczywistego stanu rzeczy w tym kraju. Wszystko, jak dotąd, opiera się na pogłoskach, a że od bitwy sadowskiej mieszanie Prus we wszystkie kwestye stało się zwyczajem, więc i w Rumunii, z uwagi na pochodzenie księcia Karola, opinia publiczna dopatruje w Prusach źródła niepokoju. Że rząd rumuński się zbroi, to nie ulega wątpliwości; ale czy można dać wiarę wszystkim krążącym o jego działaniach pogłoskom, to inne pytanie, na które niepodobna dać dokładnej odpowiedzi. Utworzenie wielkiego państwa rumuńskiego, pociągnęłoby za sobą oderwanie od Austrii Siedmiogrodu, co ostatecznie nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się to komu wydawać mogło. Z Konstantynopola donoszą, że wskutek choroby Fuad-baszy, i Aali-basza pada się do uwolnienia. Jako następcę wielkiego wezyra dzienniki wskazują Mitad-baszę, znanego stonnika zbrojnej w sprawach rumuńskich interwencyi.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).



## MAŻ UPATRZONY,

POWIEŚĆ Z ŻYCIA, W DWÓCH CZĘŚCIACH,

przez

Jana Zacharyasiewicza.

Część pierwsza.

(Z rysunkami Antoniego Zaleskiego).

(Dalszy ciąg).

Najciekawszym było w tym wszystkim, że ciocia Euzebia, prócz surowego materiału i ludzi do pomocy, wszystko inne z własnej brała szkatuły; a kiedy babcia czasem uwagę jej na to zwracała, że Nepcio może nie będzie mógł tak prędko zwrócić jej tego wszystkiego, że może nawet tak kosztownych porządków wcale sobie nie życzy, — ciocia Euzebia odpowiadała na to z lekkim grymasikiem, że to jej samej sprawa niewypowiedzianą przyjemność, że nie ma nikogo, na którego by miała się w wydatkach swoich oglądać.

Gospodarkę tę cioci różnie sobie tłumaczyli sąsiedzi. Wszyscy jednak w tym jednym punkcie zgadzali się jednomyślnie, że panna Euzebia stworzona jest na jakiego ministra, któremu możnaby powierzyć do restauracji niejedno państwo poturbowane.

Tak stały rzeczy, kiedy Nepcio, znużony kawiarniami i balami Mobbille w Paryżu, zapragnął przyjechać na karnawał do kraju rodzinnego. Była to najlepsza, lecz oraz najniebezpieczniejsza pora dla jego serca.

Ciocia Euzebia w długim liście pochwaliła ten zacny zamiar Nepcia i obiecała sama przyjechać po niego konno na stacyą kolei żelaznej, tylko pół milki od domu oddalanej. Obiecała nadto i dla niego przyprowadzić wierzchowca, bo zmęczony siedzeniem dwudniowym w wagonie, rad zapewne przejedzie się na koniu.

Wielki to był dzień, ów dzień przyjazdu Nepcia z zagranicy. W garderobie od samego rana panował hałas i tartas, jakiego od dnia ślubu ś. p. Witalisa nigdy nie bywało. Garderobiany, szwaczki, pokojówki biegały z żelazkami i bez żelazek, to do kuchni, to do garderoby, i zapiekały, praśowały, maglowały, że aż strach było patrzeć... Przytém w dosyć krótkich pauzach dawał się słyszeć donośny, srebrny głosik cioci Euzebiei w całej swojej rozciągniętej skali. Według stanu duszy cioci Euzebiei, oznaczał ten głosik albo gniew przechodni, albo głębokie wewnętrzne wzruszenie.

Wreszcie uspokoiło się wszystko w całym dworze. Był to znak że ciocia Euzebia już gotowa. I w samą rzecz wyszła ze swego buduaru do salonu, aby się w dużych zwierciadłach na wszystkie boki obejrzyć.

Miała na głowie niski kapelusik z popielatą piłsni, z gęstym szafirowym woalem, fantastycznie w tył zarzuconym. Pod spodem widać było amazonkę z ciemnej, wełnianej materyi, szamerowaną na piersiach na sposób węgierski. Na barkach przewiesiła jakiś płaszczek wyglądający na dołman, podbity jasnym, delikatnym futrem. Wiedeński bucik ujęty był w zgrabne kamaszki ze świecącymi guzikami. Angielska szpicruta ze srebrnym konikiem uzupełniała ten kostium nieco fantastyczny, ale dosyć zgrabny i dla niej nadzwyczaj korzystny.

Wyprowadzono przed ganek dwa wierzchowce, z których jeden był siwy, a drugi tarant. Taranta wziął służący luzem ze sobą. Był to podarunek dla Nepcia, kupiony ze stada hr. Juliusza.

Ciocia Euzebia, ze zgrabnością młodziutkiej panielki, dosiadła siwka i ruszyła galopem. Za nią podążył służący z luzakiem, który się mocno niepo-

koił. W tyle zaruszała się i bryczka przeznaczona pod pakunki.

Przejażdżkę do dworca kolei żelaznej obliczyła ciocia Euzebia tak kunsztownie, że razem z kłębami pary stanęła na miejscu. Podróżni zaczęli już wysiadywać i oglądali się za podwodami.

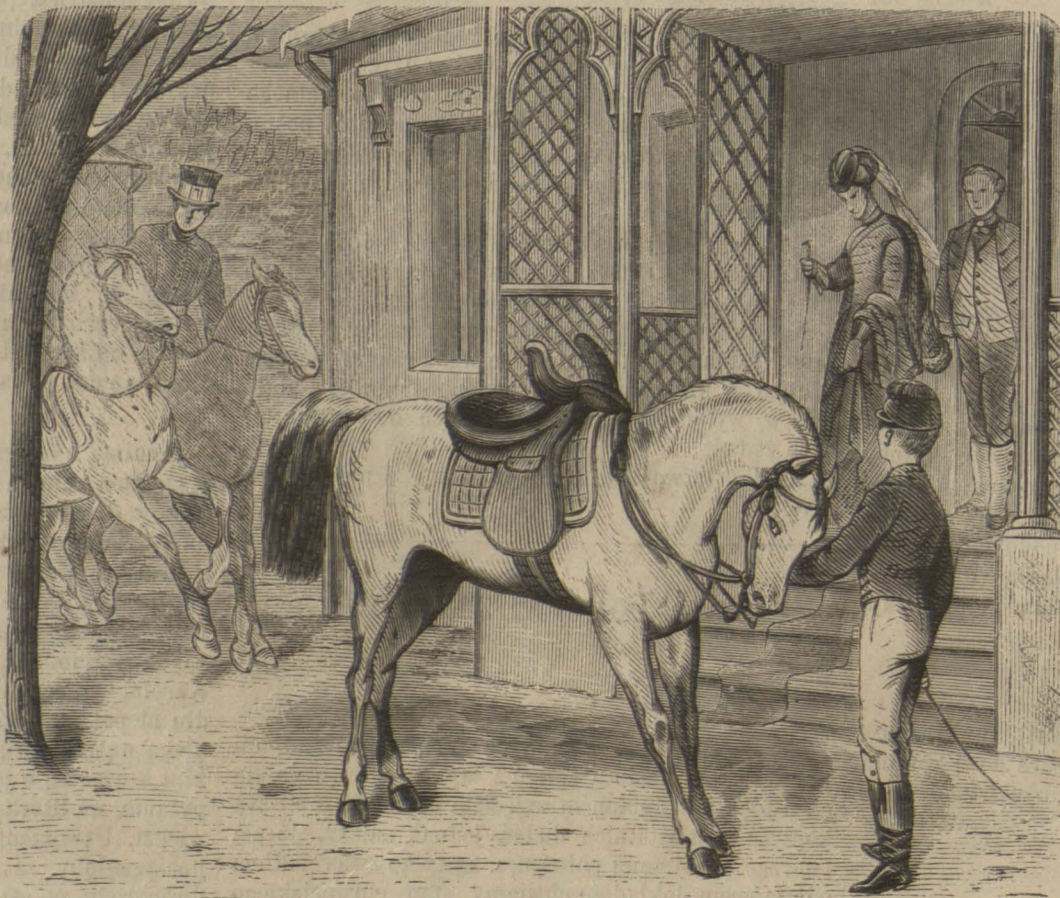
Nepcio stał właśnie na progu i patrzył z jakimś zamyśleniem na drogę ku zagrodzie rodzinnej, kiedy



Wyszła ze swego buduaru.

zgrabnie i uroczym stanęła przed nim amazonka zimnej strefy.

Nepcio krzyknął z radości, a ciocia Euzebia krzyknęła także i podała mu drobną rączkę do pocałowania. Nepcio pocałował dziesięć razy sarnią rekawiczkę i byłby jej nie puścił tak prędko, gdyby ciocia nie zwróciła jego uwagi na taranta, który ziemie grzebał i strasznie się niepokoił.



Wyprowadzono dwa wierzchowce...

Jakkolwiek tarant nadzwyczaj podobał się Nepciowi, nie miał jednak wielkiej ochoty siadać na niego, i dlatego z tajemnym westchnieniem spoglądał na bryczkę, zazdroszcząc tłumokom i kufrom. Nie był nawet wcale do konnej jazdy ubrany. Miał na sobie płaszcz z futrem i pod spodem jakąś kurtkę z torbą podróżną, przytém na kamaszkach jakieś buty ogromne ze sukna, podszyte futrem.

Dogadzając jednak życzeniu cioci Euzebiei, wydrapał się na taranta i puścił się ku dworowi.

Ciocia Euzebia patrzyła ustawicznie na niego, mając czoło i połowę oczu przesłonięte szafirowym woalem. Nepcio także uśmiechał się do cioci, ale kłopot miał z płaszczem futrzany i butami, które co chwila opadały.

Gdy już tak z dziesięć minut ze sobą przejechali i zwykłą wstępną rozmowę skończyli, zaczęła ciocia: — Nie spodziewałam się w tak późnej porze używać takiej przyjemności, która się zazwyczaj w lecie tylko praktykuje.

— Za granicą jest moda, że i w zimie jeżdżą damy konno, a osobiwie Angielki, odparł Nepcio.

— Według mego zdania najlepiej jest trzymać się we wszystkim odpowiedniej pory.

— Ach, jakże pedantycznie usposobiona jest ciocia kuzynka! Cóż pora ma do tego, jeśli mi to przyjemność sprawia? Dlaczegoż nie mogę w zimie jeść lodów, jeżeli mi smakują?

— O nie, kuzynku. Każda pora ma swoje prawa. Od lata wymagamy gorąca, skwaru, burz i piorunów, lato przystraja łąki i pola i zachwycza nas...

— Czy kuzynka mówi o lecie na początku, czy o lecie na schyłku?

Ciocia Euzebia spojrzała z uwagą w oczy Nepcia. Uśmiechnęła się i zapytała:

— Cóż cię to tak obchodzi?

— Bo ja lubię lato na schyłku, odparł krótko Nepcio, ciągnąc za ucho but futrzany, który chciał mu umknąć.

— Kuzynek lubi lato na schyłku? powtórzyła przeciągłym głosem ciocia Euzebia i wpatrzyła się w twarz zaturbowanego Nepcia, który z butem nie mógł sobie dać rady.

— Tak, tak, na schyłku, kochana ciocia... kuzynko, odrzekł Nepcio, schylając się znów ku strzemieniu.

— Lato na schyłku! powtórzyła ciocia Euzebia i zamyśliła się, puszczając siwkowi wodze.

Droga była w tym miejscu nierówna. Z lewej strony, po której jechała ciocia Euzebia, był parów dosyć głęboki. Siwiec miał wielką ochotę skoczyć do tego parowu. Zaglądał z brzegu na dół, czy sam sobie karku nie skreśli. O ciocię Euzebię, jak się zdawało, wcale mu nie chodziło, i już zaczął się decydować zejść na dół, gdy Nepcio za cugle go chwycił.

— Dla Boga! ciociu, wszak to kark można złamać, zawołał przestraszony.

Ciocia Euzebia rozśmiała się melancholijnie, spojrzała na Nepcia i rzekła:

— Nie myślałam w tej chwili bynajmniej o złamaniu karku, ani żadnego niebezpieczeństwa nie widziałam.

— O czymże ciocia... kuzynka myślała?

— Myślałam sobie, jak to może wyglądać „lato na schyłku.“

— A cóż to, czy kuzynka nie widziała nigdy jak lato na schyłku wygląda?

— Zależy to od punktu, z którego na nie patrzymy.

— Zapewne, zapewne, bakał Nepcio.... Przeklęty but ciągle mi z nogi spada.

I rzeczywiście but futrzany groził teraz stanowczym opuszczeniem nogi Nepcia, do czego przyczynił się niemało nagły skok taranta, gdy przyszło ciocię Euzebię ratować. Nie było innej rady, jak zdjąć but znie-

chęcony i wziąć go do ręki. Uskutecznił to Nepcio, a pozbywszy się tym sposobem niepokoju, mówił dalej:

— Zapewne, zależy to od punktu widzenia.

— Ja sądzę, że początek lata, albo wiosna najmniej mają dla nas ponęty.

— Ej, co mi tam wiosna z jej kwiatkami! odfu-

knął Nepcio, uderzając batem po grzywie taranta.



— Jak to, więc prędko przemijająca woń kwiatów wiosennych już cię nie nęci? zapytała nagle ciocia z iskrzącym wejrzeniem; miałeś tak prędko dojrzeć rozumem?

— Mówię kuzynce, że ja tam kwiatków bardzo nie lubię i dla wiosny nie mam wielkiego afektu.

— Tak to się mówi tylko. A gdyby naprzykład stanęła nagle przed tobą wiosna z całą świeżością?

— Wolę zawsze lato i to lato na schyłku, kiedy się już jesień zaczyna.

— Ach, lato tak trudno odróżnić od pięknej, pogodnej jesieni! Tylko astronomowie kładą w kalendarzach jakiś tam dzień, który ma lato rozgraniczać od jesieni. Ale w życiu powszednim trudno o tę granicę, a tym trudniej, jeśli lato, mimo wichrów mroźnych, zatrzymać umię wszystkie swoje barwy.

— A prawda, prawda! Lato, a osobliwie późne lato, ma najładniejsze barwy, mówił Npecio, wykręcając butem.

— I to barwy stałe, które nigdy nie pełzną, nigdy się nie zmieniają, pochwyliła szybko ciocia Euzebia.

— To tak, jak naprzykład astry, nieśmiertelniki...

— A niezmiennosc czyli ustalenie się wiele, bardzo wiele znaczy. Weźmy naprzykład zmienność uczuć, zmienność charakteru, zasad, poglądów na życie, jakież to nieszczęściem jest dla tych, których zbliżka dotyka!... Dziwię się ludziom, którzy rozkoszują się tym, co jest właśnie źródłem, czyli uprzywilejowaną porą tej zmienności. Ale nie każdy ma ten rozsądek. Niejeden rad sięga po różę, dlatego że oko jego drażni, i nie wie wcale że ta róża ma kolce.

Podczas tych pięknych i poetycznych przyrównań, bawił się Npecio butem futrzanym, wykręcając go na wszystkie strony. Chciał na to coś odpowiedzieć, ale nie wiedział nic stosownego. Milczał więc w głębokim zamyśleniu, czy raczej porwany jakimś lirycznym uczuciem.

— A wszystkie te korzyści, ciągnęła dalej ciocia, daje nam, jak kuzynek nazwałeś, lato na schyłku, chociaż przeciw temu wyrażeniu miałabym wielką ochotę zaprotestować. Lato jest latem, póki życie jest w całej pełni, póki duch jest czynny i ruchliwy i objawia się na zewnątrz czynami, — bo te właściwie są kwiatem życia, a wszystko inne, chociaż dla oka tak powabne, to tylko rozkoszne złudzenie, po którym następuje bolesne rozczarowanie. Czyż nie lepsze jest mierne a stałe ciepło, niżeli skwary, burze i grady?

— W samej rzeczy, w gospodarstwie zrzęda to wielkie szkody.

— Tak samo dzieje się i w gospodarstwie serca czyli życia. Są i tam skwary, kanikuły i nierozłączne z nimi burze, deszcze, wichry i grady, które najpiękniejsze zasiewy nam niszczą; ale jest i ta stała, czy raczej stateczna pogoda, która nie pali, nie suszy, lecz sprawia zarówno wszędzie bujną wegetacją.

Npecio milczał, bo rozmowa cioci stawała się z każdym słowem mniej dla niego zrozumiałą, a w końcu nawet tętnęła coś transcendentalną metafizyką. Chcąc więc całą tę sprawę raz na

czysto postawić, rzekł wreszcie:

— Nie wiem dlaczego kuzynka tyle poetycznych rzeczy przywiązuje do lata na schyłku. Ja szcze-

rze się przyznam, że dlatego lubię koniec lata, bo wtedy dojrzewają owoce, są melony i kawony.

— Ach ty prozaiczny kuzynku! zagadnęła ciocia, uderzając go szpicrutą po ramieniu, ty prozaiczny bohaterze! Czyż dla ciebie nad smaczny melon i kawon niema już nic więcej?

— Nie jestem, kochana ciociu, zupełnie bez poezji, zareplikował Npecio, lubię i ja czasem tę piankę życia, jak ją Musset nazwał; ale do poezji potrzebuję nieco wygodniejszej pozycji niżeli ją mam w tej chwili na tarancie, trzymając płaszcz który mi ucieka, i but, który już był umknął i jako zbieg w moim ręku spoczywa.

Ciocia Euzebia spojrzała na Npecia i uśmiechnęła się, bo rzeczywiście wyglądał strasznie umartwiony.

— W samej rzeczy, są sytuacje, w których trudno być poetycznym, zauważyła po chwili.

Npecio jednak wziął na kiel jak to mówią i ze zmartwienia chciał już nawet być poetycznym.

A że właśnie w tej chwili z poza suchych konarów drzew wychylił się dach szary jego zagrody rodzinnej, a w dali dwie karczmy z wysokim żorawiem na białym tle śniegu malowniczo się zarysowały, podniósł but futrzany do góry i zawołał:

— Patrz ciociu, co za widok poetyczny!... Ten dach, pod którym dwadzieścia cztery lat przeżyłem, sam nie wiem jakim sposobem... Te dwie karczmy, które tysiąc pięćset złotych reńskich czystego dochodu przynoszą...

— Widzę żeś dosyć ochłodził w Paryżu, przerwała z uśmiechem ciocia, że zaczynasz się racjonalnie zapatrywać na życie. Nawet gust twój do późnego lata... wszystko to są niezłe oznaki.

Dalsza rozmowa zesłała na rzeczy zwyczajne, a za parę minut byli już na dziedzińcu dworu.

Kilka dni rozpatrywał się Npecio po nowourządzonej swojej zagrodzie, w której już nic groźzonego nie było, tylko

wszystko murowane. Wprawiało go to w zachwycenie i co pięć minut nazywał ciocię Euzebią duchem opiekuńczym rodu zasłużonego w dziejach ojczystych, który w piątej generacji już nieco szwankować zaczął. Ale święte były słowa nieboszczyka pana Witalisa, że rody większe żyją zbiorowo, że utrzymuje je rozum zbiorowy. Otóż ciocia Euzebia posiadała ten rozum zbiorowy i hojnie nim dla dobra rodu szafowała.

Gospodarstwo polowe i leśne zastał tak uregulowane, jak w zegarku kółka pojedyncze, a grosza zaoszczędzonego tyle, ile nawet za błogich preferansowych czasów ś. p. pana Witalisa nigdy w skarbcu nie było.

Npecio bił pokłony przed rozsądkiem i zmyślnością z jaką sobie ciocia w każdym razie poradzić umiała; podziwiał odwagę z jaką walczyła przeciw gromadzącym się trudnościom. A gdy się jeszcze dowiedział, że w te różne renowacje dworu i ogrodu swój własny kapitał włożyła, o którego zwrocie nie mówiła, a nawet napomknęła, że to zrobiła dla własnej przyjemności: — Npecio nie mógł już słów znaleźć na podziękowanie kochanej kuzynce za tyle poświęcenia i przywiązania.



Rzuciła jej się na szyję...



Patrz, ciociu, co za poetyczny widok!..



Przypatrywał się z oddalenia..



Ciocia Euzebia przyjmowała wszystkie podziękowania z uśmiechem zadowolenia i pilnie patrzyła na zachwyconego Nepcia, aby odgadnąć tajemne myśli i uczucia, jakie nim na widok tego wszystkiego włądały.

Po tygodniu uspokoił się Nepcio z pierwszych wrażeń. Przyzwyczał się już do swoich nowych, wytworzonych mebli, do obić francuzkich, do taranta i murowanego pawilonu. Zaczął opowiadać o Paryżu różne historie, z których okazało się dowodnie, że po za koło towarzystwa tak zwanego „pół-świata“ nigdy nie wyszedł. Nie widział jednak w tym nic poniżającego, bo wszyscy jego towarzysze wyżej nie bywali.

Kiedy już Nepcio swoje opowiadania o Paryżu i kawiarniach „śpiewających“ wyczerpał, poczęła ciocia Euzebia wynajdywać najrozmaitsze rozrywki umysłowe, aby wkoło niego stworzyć jakiś świątek przyjemny, w którymby mu dobrze i miło było.

W tym celu zebrała jeszcze pierwój małą biblioteczkę najnowszych książek, które miano przy herbacie w głos czytać. Sprowadziła Szekspira po francuzku i proponowała Nepciowi, aby podzieliwszy rolę między siebie, czytać z dwóch egzemplarzy naraz, jak to się czasem na próbie w teatrze praktykuje. Prócz tego zapnumerowała mnóstwo pism krajowych i zagranicznych. Słowem umiała podczas długich zimowych wieczorów stworzyć jakieś życie w szczupłym gronie familijnym.

Zrazu zajmowało to Nepcia. Po gwarnym Paryżu, bawiła go ta sielanka; ale po trzech tygodniach zaczął się jakoś niepokoić. Już nie mógł wieczorem cztery godziny przesiedzieć na jednym fotelu. Nie mógł od jednego zamachu wydeklamować wszystkich utyskiwań nieszczęśliwego króla Leara. Nie mógł nawet należycie oddać dzikiego Kalibana, którego rolę niegdyś namiętnie lubił. Słowem, Nepcio coś sobie motał na czarne wąsiki.

Ciocia Euzebia, wierna swój roli jako duch opiekuńczy rodu i jego rozum zbiorowy, zaczęła troskliwie śledzić ten niepokój piątą generacji i przysłała do dziwnych wypadków.

Pokojowiec Janek doniósł jej, że pan Nepomucen często zamyka się w swoim pokoju. Patrząc przez otwór od klucza, widział Janek, że panicz wtedy otwierał kufry i szafy, wyjmował najpiękniejsze tużurki i bućki, ubierał się jakby na bal jaki, i potem zamyślony chodził długi czas tak ubrany po pokoju. Wtedy nie chciał nikomu otworzyć i wszystkich odprowadził.

Czasem znowu kazał do amerykanki zaprzęgnąć siwki w angielskich szorach, a gdy wszystko kilka razy dokoła obejrzał i z oddalenia nawet się przypatrzył, kazał napowrót konie wyprzęgać i amerykankę wtaczać do wozowni. Nie było to bez kozery.

Ciocia podwoiła swoje usiłowania, aby Nepciowi życie uprzyjemnić, aby coś nowego wymyślić, coby go do zagrody rodzinnej przywiązać mogło — ale wszystko napróżno.

Nepcio był podobny do ptaka, który próbuje skrzydeł, aby z gniazda rodzinnego odlecieć. Czy to była tęsknota za jakimś życiem burzliwszym, niżeli mogła mu je dać zagroda ojczysta? Czy poszaniecie ostatniej woli rodzica, który wyraźnie kazał mu ożenić się „rychło a dobrze“, rodziło w nim ten niepokój? Trudno było na to odpowiedzieć, ale widocznie ptaszek gotował się do odlotu, bo muskał ustawicznie piórka swoje i machał skrzydłami po powietrzu.

Widząc to, ciocia Euzebia zamyśliła się. Kilka dni chodziła smutna i chmurna. We dworze nastąpiła nagle cisza, jak w zegarku, w którym sprężyna działać przestała. Wszyscy spostrzegli tę ciszę, ale nikt nie wiedział jej powodu.

Usunawszy się z pierwszego planu, śledziła ciocia Euzebia z uwagą te niezdarność, jaka nagle cały dwór ogarnęła. W dziennym gospodarstwie zaczęło coś szwankować. Mleko nie było na czas oddane pachciarzowi, we młynie popsuto najpiękniejszą pszenicę, przerabiając ją na mąkę. Kucharz nie zgotował na czas obiadu, a kotki i pieski babci spać bez wieczery. Słowem porządek tak wzorowy przed kilkoma dniami, zaczął się rozpręgać i przechodzić w chaos.

Uśmiechnęła się na to ciocia Euzebia i kazawszy

jednego pięknego poranku spakować kufry i tłomoki, rzekła przy śniadaniu:

— Zasiadziałam się tutaj, a prawdę mówiąc zmęczyłam się trochę. Potrzebuję odpoczynku i odświeżenia umysłu. Wyjadę do pani Alfonsowej. Właśnie przed miesiącem pisała do mnie i usilnie mnie zapraszała.

— Jaktó! Ciocia Zebeia chce wyjechać? zawołał nagle Nepcio, a babcia powtórzyła za nim to samo.

— Kochany Nepciu, cóż to cię tak bardzo zadziwia? zapytała Euzebia z ironicznym kaprysykiem na twarzy.

— A jużeż mocno mnie zadziwia. A to jeszcze tak nagle, nie powiedziawszy wprzód ani słowa.

— Wszystko jest w porządku, w książce zapisana robota, rządca i ekonom mają już dyspozycje...

— O to wszystko mniejsza, ale przecież gdyby ciocia choć na kilka dni naprzód była powiedziała.

— Czy taki smutek ogarnął cię nagle po mnie, mój Nepciu?

— Smutek... hm, smutek... jużeż i smutek. Ale ja prócz tego miałem... miałem zamiar także wyjechać.

— Miałeś zamiar wyjechać?... Tak? to mnie masz za złe, że ci naprzód nic o moim odjeździe nie powiedziała, a sam nosisz się z myślą odjazdu i nikomu ani słówka o tym nie pisałeś? Czy to się tak gości? Co?

Nepcia schwytało rzeczywiście w łapkę. Kręcił się biédak i wiercił, ale przepadło. Już się wygadał że chciał gdzieś frunąć, a wszelkie zaprzeczenia na nicby się nie zdały. Nabral więc odwagi i rzekł:

— Ja mówię tylko, że myślałem wyjechać, a gdybym był powziął jakie postanowienie, powiedziałbym zaraz o tym ci... kuzynie Euzebie. Ale kuzynka tak nagle zaskoczyła mi drogę...

— Nie turbuj się, kochany Nepciu. Wrócę ja, wrócę, i to tćm prędzej, gdy się przekonam, że moja obecność jest ci potrzebna... Widzisz, kochany kuzynku, czasami to dobrze zrobić taką próbę. Nieprawdaż? A więc do zobaczenia!

Podając zaturbowanemu Nepciowi rękę, ucałowała babcie i wybiegła z pokoju.

Za chwilę słyhać było turkot powozu.

Państwo Alfonsowie, do których właśnie dążyła ciocia Euzebia, byli to dalecy jej krewni i ludzie dosyć zamożni. Nie mając dzieci, prowadzili dom otwarty i gościnny i radzi byli wszystkim co ich odwiedzało.

Kiedy powóz cioci Euzebie przed gankiem się pojawił, wybiegła pani Alfonsowa do jadalnego pokoju, już z góry dobrze usposobiona dla łaskawego gościa, a poznawszy pannę Euzebię, rzuciła się jej na szyję, wołając:

— Ach, to myśl przecudna z twojej strony! Wyobraź sobie, żeś może nigdy nie przybyła tak *à propos* jak dzisiaj. Dowodzi to, że nas kochasz i odgadujesz przecuciem, że cię właśnie pragniemy.

— Tak, ale to przecucie musiało przebieść przez strzeń siedmiomilową... odparła ciocia Euzebia z uśmiechem.

— Tćm droższą jesteś dla nas, tćm więcej pożadaną. Jest właśnie u nas i Sydzia.

— Jest Sydonia? zapytała ciekawie ciocia Euzebia — czy zawsze taka ładna?

— Ach zawsze, miła, ładna, wesoła — będziecie się wybornie bawić. Zrzuć prędko futro i chodź za mną, dam ci pokój jak pięścielko. Grzegórz! Czy tam napalone?

Pokoik był rzeczywiście milutki i opalony. Za godzinę nie widać już było wcale, że ktoś obcy do domu przybył. Ciocia Euzebia biegła z taką swobodą po wszystkich pokojach, jakby tu już beczkę soli zjadła.

Pani Alfonsowa, była to kobieta wyżej czterdziestki. Nizkiego wzrostu, miała twarz okrągłą i zawsze uśmiechniętą. Czoło jej gładkie nie znamionowało żadnej troski. Widać tam było byt dobry, dobry apetyt i zadowolenie ze wszystkiego. Pan Alfons również był szczęśliwy i zadowolony, ale powierchność jego wcale co innego okazywała. Był chudy i wysoki, a twarz miał pomarszczoną we wszy-

stkich kierunkach. Nie stało się to z natężenia myśli, bo pan Alfons był prostym konsumentem pradziadowskiej fortuny i nigdy nad niczym myśli swych nie trudził, w przekonaniu że tylko ludzie bićni potrzebują myśleć, aby sobie na chleb zarobić. Przy tćm wszystkićm jednak był to, jak mówią, człowiek poczciwy i prawy, a nadewszystko porządnym. Gdy pan Alfons kiedyś umrze, co niestety konieczne nastąpić musi, to znajdzie się poczciwy sąsiad, co przez lat czterdzieści codziennie grywał z nim preferans, który napisze w gazecie, że nieboszczyk miał wiele cnót cichych, które jak prawdziwe perły kryją się przed okiem ludzkim.

Ale mniejsza o pana Alfonsa. Niewiele on nam jest potrzebny. Potrzebniejszą byłaby Sydonia, o której pani Alfonsowa mówiła, że jest ładna, miła i wesoła. Ale panna Sydzia, jak ją powszechnie nazywano, była w swoim pokoju i ubierała się w toaletę poobiednią.

Ciocia Euzebia przejrzała wszystkie kąty całego domu, by się w nowym swoim położeniu należycie rozpatrzeć. Było to już jej zwyczajem, że nigdy długo nie siedziała na jednym miejscu w nowym mieszkaniu. Czuła jakiś niepokój wewnętrzny, nie wiedząc co tam może być za tą ścianą, ile pokoi ciągnie się w amfiladzie i gdzie te drzwi tak starannie zamknięte prowadzą. Była w tćm podobną do opatrnego wodza, który nim obóz gdzie założy, zwiędzi pierwój wszystkie krzaki sąsiednie i parowy, aby wiedzieć co ma z boku, a co może mieć za plecami.

Gdy już tak we wszystkićm należycie się rozpatrzyła, usiadła na fotelu w pokoju jadalnym, z kądem widok na drogę prowadzącą do dworu. Pani Alfonsowa, która zwykła była gościom swoim dawać wszelką swobodę, gdy ich widziała czćm zatrudnionych, przyłączała się do nich natychmiast, gdy widziała że zaczynają bawić się myślami. Przynęła więc fotel do cioci Euzebie, trzymając w ręku jakąś robotę szydełkową i wzór z „Bazaru“.

— Cóż Sydzia tak długo porabia? zapytała ciocia Euzebia z chmurką zamyślenia na czole.

— Ona próbuje zapewne nową toaletę, którą jej przysłała Adamska ze Lwowa, odparła pani Alfonsowa. Nie uwierzysz jak się podoba Sydzia w całej okolicy. Ani dnia spokoju nie mamy, chociaż właściwie temu niepokojowi radzi jesteśmy, bo człowiek jakoś tak nie pleśnieje. Jest z czego się uśmieć i koło czego się nakręcić. To sprawia apetyt i sen dobry.

Ciocia Euzebia myślała właśnie nad tą prostą filozofią życia, gdy pod oknami zaturkotały koła.

Obie kobiety wyrzwały przez okno. Była to bryczka dosyć skromna. Na bryczce siedział młody człowiek.

— Któż to taki? zapytała szybko ciocia Euzebia, mierząc piękną, bladą twarz nieznanego.

— Ej to nie! odpowiedziała pani Alfonsowa wracając do „Bazaru“, to syn naszego dzierżawcy. Zda je mi się że prawo kończy we Lwowie. Wcale wykształcony człowiek, a nawet jest dosyć dobrze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Garkuchnie tanie czyli ludowe.

Wesprćć jałmużną żebraka, jest bezwątpienia czynem miłosierdzia; ale nie dozwoić żeby bliźni wyszedł na żebrzącego, jest bezwarunkowo o wiele wznioślejszym czynem miłości chrześcijańskiej. Że to trudno, zaprzeczyć niepodobna, dowodem proletaryat Anglii nazywanój bogatą, dowodem liczne zastępy żebraków w Belgii nazywanój szczęśliwą i ucywilizowaną. Jeżeli więc w krajach jako wzór pod względem państwowo-narodowego ustroju stawianych, społeczeństwo nie jest w możności uchronić swych członków przed inwazyją żebraczego kosztura i torby żebraczej, tćm więcej niemożebność ta przejawiać się musi w krajach mocno niedomagających w dwóch powyżej przytoczonych względach. Czy nawet kiedykolwiek ludzkość, w jaknajdoskonalszym swym ustroju, zdoła wyrugować z pomiędzy siebie nędzę? o tćm wielu powątpiewa, choć powątpiewanie to wskazuje brak zaufania w siły ludzkie, brak wiary w ciągłe doskonalenie się ludzkości, brak pożądania owego ideału, nazwanego przez poetów rajem ziemskim.



Ale porzucmy ogólniki. Zagłębiać się w przyszłość, aby na jej pajęczej tkance zakładać uroczyste ogrody ziemskiego edenu, jest to poprostu taka sama zabawka w hipotezy, jaką jest np. rojenie poetów o wielości światów zamieszkiwanych. Z drugiej strony wykazywać to wszystko czego się nie robi, dla uchronienia bliźniego od sakw zebranych i co się robi dla zgotowania mu tego świetnego losu, jest wielolichnym niepodobieństwem, w części od nas, w części nie od nas zależącym. To tylko powiem i powtórzę, że obowiązkiem społeczeństwa nie jest samo rzucanie groszów do miseczki dziaduskiej, ale staranie się aby bliźni nie miał potrzeby stawiania owjej miseczki przed nasze oczy. Sposobów ochronnych jest bardzo wiele; ale ja tutaj mam tylko jeden na myśli, to jest *garkuchnie ludowe* czyli *tanie*.

Zapytacie się może, jakim sposobem garkuchnie ludowe mogą ochronić od rozwoju żebractwa? Bardzo prostym: — dają zdrowy pokarm za tanie pieniądze.

Chcąc pracować, czyli nie być żebrakiem, potrzeba mieć zdrowie, potrzeba (oprócz innych, mniej wpływowych warunków) jeść; chcąc aby jedzenie zachowywało zdrowie, powinno ono być ciepłym, pożywным i ceny przystępnej dla kieszeni jeść potrzebującego. Jeżeli zatem robotnicy, wyrobownicy, posługacze i inni ciężko pracujący a mało zarabiający, mają pożywienie surowe lub źle ugotowane, niepożywne i niedostateczne, a do tego zadrogie w stosunku do ich dochodów, — wówczas co następuje? Wycieńczenie sił i choroby, niemożność zapracowania na siebie, a tём samém konieczność zapisania się w szereg żyjących z dobroczynności publicznej i niezbędna potrzeba zwiększenia budżetu dobroczynnego, jeżeli społeczność nie chce cierpieć na wyrzuty sumienia za opuszczenie swego członka, umiერającego w strasznych męczarniach głodowej śmierci. Skutki braku stosownego pożywienia zwiększają się zaś jeszcze, jeżeli robotnicy mają żony i dzieci, którzy żyją z pracy ojca, lub jeżeli śmierć ojca wyrzuci na bruk kilka sierot. Tak więc choroba jednego członka społeczności, lub tём jego śmierć z zamorzenia, obarcza społeczeństwo kilkoma istotami, które albo musi wyżywić, osłonić i ubrać — albo tём pozwolić im umrzeć. Wszystko zaś to nie nastąpiłoby, gdyby ów wyrobnik, czeladnik lub kto inny miał zdrowy pokarm, któryby zastąpił ubytek sił przy pracy wyniszczonych, miał ciepłą strawę, któraby rozrzęzała kostniejące od zimna członki jego ciała.

Czego więc chcesz? zapytacie. Czy może jakiej nowiej jałmużny? Przepraszam, nie o jałmużnie tu mowa, ale o pomocy. Jałmużna zabija ducha, a nawet i ciało; pomoc braterska daje życie jednemu i drugiemu. Idzie mi tylko o to, aby dać *tanio dobry pokarm* klasie robotniczej. A proszę zauważyć, że nie mówię *darmo*. Otóż w celu dania ludowi tego taniego i dobrego pokarmu, postanowiłem pomówić z wami o garkuchniach ludowych.

Wiadomo że gotując pewien pokarm dla znacznej liczby ludzi, pokarm ten przychodzi znacznie taniej, niż gdyby każdy gotował go sobie oddzielnie. Pochodzi to z oszczędności drzewa, naczyń, usług, z tańszego zakupu materiałów pożywnych w większej ilości, aniżeli detalicznie. Rzecz to znana, jak znanym jest także nasze przysłowie, że przy jednym ogniu można upiec dwie pieczenie. Otóż na tём to zasadzie zwykłe dotychczasowe garkuchnie czyli restauracje nasze (pomijamy angielsko-europejskie i inne tёмże doniosłości), mogą dawać z zarobkiem dla siebie obiady tańsze dla pojedynczego człowieka, niż gdyby ten obiad gotował dla siebie sam w domu, — ale droższe niżeli gdyby kto tenże sam obiad kupował dla pięciu np. osób składających jedną rodzinę. Na mocy tём właśnie zasady można zakładać garkuchnie ludowe, gdzie robotnicy mogliby dostawać jadło dobre i tanie, i to tanie nietylko w stosunku do tego co kosztowałoby przyrządzenie onego u siebie w domu, ale nawet w stosunku obiadów w restauracjach.

Ażebym to objaśnić, potrzeba poznać ustrój takich kuchni ludowych, które istnieją za granicą w większych miastach i o których pisma nasze w roku bieżącym wspomniały, lecz wspomniawszy, uznały za stosowne zapomnieć.

Garkuchnie ludowe są dwojakie: czysto współdzielcze i dobroczynne. Są jeszcze i prywatne, ale te uważam za zwyczajne garkuchnie, dla własnego interesu przedsiębiorcy założone, a zatytułowane tylko ludowemi.

Garkuchnie ludowe współdzielcze tak się organizują. Pewna liczba osób, zauważywszy że im taniej wypadnie gotować przy jednym ogniu, składają pewną oznaczoną kwotę, niby akcją, i z tak uzbieraną sumką zarządzają garkuchnię do nich wspólnie należąca, pod ich wspólnym zarządem zostającą i która sprzedaje im strawę po cenie przez nich oznaczonej, rozdzielając zyski i straty pomiędzy nich wszystkich. Jest to system spółdzielczy, zastosowany do banków zaliczkowych, do stowarzyszeń spożywczych, produkcyjnych i innych. Podług takiego systemu urządzone garkuchnie znajdują się w Brukselli. System to piękny, jak wszystkie na samopomocy ugruntowane, ale dla nas bardzo trudny do przeprowadzenia, dla powodów znanych i nieznanych publiczności. Wyboje tём drogi znam dobrze, i dlatego wręczę powiadam, że obecnie jest ona u nas prawie nie do przebycia.

Garkuchnie ludowe dobroczynne są o wiele dla nas przystępniejszemi, a nawet zupełnie możliwemi. Istnieją one w dość znacznej liczbie we Francji, szczególnie w Paryżu i Grenobli, i w Niemczech, mianowicie w Berlinie, gdzie w przeciągu dwóch ostatnich lat znakomicie się rozwinęły.

Dobroczynne kuchnie nie na tём się zasadzają, że dają jeść darmo — bo takie bezwarunkowo cieszyłyby się u nas znakomitým powodzeniem — ale na zawiązaniu przez osoby dobroczynne. Garkuchnie współdzielcze fundusz założycielski zbierały od tych którzy jeść mieli w owych garkuchniach. Garkuchnie dobroczynne fundusz zakładowy pozyskują od osób dobroczynnych, które najprawdopodobniej nie będą nigdy gośćmi owego zakładu, ale które chcą dać klasie robotniczej dobre i tanie pożywienie.

(Dokończenie nastąpi).

## Ze świata muzycznego.

Szereg zimowych koncertów rozpoczął się pięknie i poważnie od koncertu symfonicznego, danego przez orkiestrę W. teatru, pod dykcyą p. Adama Münchheimera. Trzeci to już koncert z kolei, (dwa pierwsze bowiem odbyły się na wiosnę) a jednak, mimo niezaprzeczonej tych koncertów zasługi, dotąd niezbyt licznie są one odwiedzane przez publiczność. Zapewne zmieni się to na przyszłość; słuchanie bowiem częste arcydzieł, jest jedną z najużyteczniejszych rozrywek. Nikt wprawdzie słowami nie potrafi określić języka tonów; ale prawie wszyscy czujemy jego piękność, i niema prawie człowieka, któryby pod podobnym wrażeniem zostając, chwilowo nie czuł się lepszym i szlachetniejszym.

Nie tu miejsce rozwijać cały szereg pojęć, które tak bogaty przedmiot nasunąć może; dość nam tylko sięgnąć do własnych, osobistych wrażeń, aby dostrzedz ile jest związku między pewnymi ideami filozoficznymi a sztuką. Cudowna symfonia Mendelssohna (trzecia), wykonana w niedzielę, jakąś prawie zaziemską oddycha niekiedy tęsknotą. Dla niejednego z myślących słuchaczy wrażenie przez podobną muzykę sprawione, może graniczyć z pojęciem nieśmiertelności, z wiarą w lepszy, doskonalszy byt po za grobem.

Kto czuje głęboko, ale komu świeża serca rana każe chwilowo wątpić o ideale miłości, ten jednak bez wrażenia słuchać nie potrafi tych cudownych wariacji Schumana, które tak mistrzowsko grali Zarzycki i Duleba, na koncercie w resursie Kupieckiej, a które jedna z obecnych dam nazwała *rozmową dwojga koehanków*. Wistocie, prawdziwy to dyalog, pełen ognia, rzewności, marzenia, a jeżeli sztuka nie ma być kłamstwem, to podobne uczucia także prawdą być muszą, i kto tak sztukę pojmuje, o wielu rzeczach nigdy wątpić nie potrafi.

Lecz odbiegliśmy od koncertu symfonicznego. Wiemy już że perłę jego stanowiła owa symfonia. Wykonanie jój było bardzo dobre, wyjąwszy jakies krótkotrwałe nieporozumienie w adagio.

Drugim ustępem, który nas szczególnie zajął, by-

ła wstępna arya z Hugonotów, odśpiewana przez Filleborna z towarzyszeniem orkiestry, altówki i rzadko gdzie używanego instrumentu *viola d'amore*. Są to skrzypce o siedmiu strunach zwierzęcych, pod którymi, dla dźwięku, umieszczono sześć strun mniejszych metalowych. Nadaje to instrumentowi dźwięk zupełnie odrębny i bardzo miły. Grał na niej pan Hornziel, jedyny podobno w Warszawie artysta z tym instrumentem obeznany. Filleborn, któremu lekka słabość przez parę tygodni cokolwiek przeszkadzała w śpiewie, teraz arya owę z Hugonotów wykonał prześlicznie, zmieniając tylko *cadenzę*, jako właściwie na niektóre tony falsetowe napisaną. Nie będąc wcale zwolennikami falsetowego głosu, na tём zmianę bynajmniej nie utyskiwaliśmy.

Oprócz powyższych ustępów, wykonane były dwie uwertury, jedna Cherubiniego, druga Nideckiego, i adagio z kwartetu Spohra. Ostatnie odegrał chór instrumentów rżniętych.

Zresztą prospekt ogłoszony w pismach zapoznał nas z nazwiskami znakomitych mistrzów, których utwory mają być na tych koncertach wykonane. Żałujemy jedną tylko rzeczy: oto że w owym prospekcie, pomiędzy imionami krajowych kompozytorów, z których dziełami zapoznawać się, lub ze znanymi przestawać mamy, nie widzieliśmy najpierwszego z nich, Stanisława Moniuszki. Mówiąc stylem Swetoniusza, imię to błyszczy tu jedynie swoją nieobecnością.

Resursa Kupiecka urządziła d. 26 b. m. wieczorem koncert dla swych członków, w którym, oprócz wyżej wymienionych p. p. Zarzyckiego i Duleby, przyjęli udział amatorka panna Bernhardt i pan Darewski, goszczący u nas śpiewak. Pan Zarzycki mistrzowsko wykonał dwa małe tańce Bacha: Sarabandę i Passe-pied. Staruszkowate te utwory, pełne jednak rozumu i wdzięku, odegrał prześlicznie, z tą delikatnością uderzenia, z tą kokieterią frazesów, która do uwydatnienia ich charakteru konieczne jest potrzebna. Dziwna, że w wykonaniu, aczkolwiek pięknym, poloneza Szopena, nie dostrzegliśmy tём siły i zamaszystości, jaką zawsze w podobnych utworach odznacza się p. Zarzycki, ustęp jednak z oktawami w basie odegrany był znakomicie. Berceuse i mazurek własnego utworu artysty podobały nam się, lecz mniej niż nad program zagrany inny mazurek, również Zarzyckiego, mający wiele rzewności i wdzięku.

Co do ocenienia głosu i talentu pana Darewskiego, niezupełnie będziemy w zgodzie z niektórymi sprawozdaniami innych pism tutejszych. Zgadza się na to, że wymowa niejasna, a nawet podług mego zdania niedość prawdziwy *smał* w frazowaniu wielu ustępów, mogły niekorzystnie wpłynąć na otrzymane wrażenie; wszelako głosu tego nigdy bym nie nazwał ani słabym, ani krzykliwym. Owszem, tenor to silny, trochę ostry niekiedy, ale nigdy tak dalece, aby to było żałącym. Gamma bardzo wykształcona i mechanizm wielki, czego dowodziło nader poprawne odśpiewanie trudnej arii z Otella. Kilka nót umiejętnie cieniowanych dowodzi również, że pan Darewski przeszedł dobre studia i nie bez korzyści. Cantabile pana D. i nam mniej się podobało; jakkolwiek dużo tam było intencji dobrych i pociąg wielki do rzewności, jednak wolelibyśmy więcej stosowania się do jednostajnego rytmu i nieprzeciąganie ani przeładowywanie ustępów oderwanych, co psuje całość i utrudnia słuchaczowi jój zrozumienie. Zapewne nie raz ostatni słyszemy pana D.; będziemy więc jeszcze mieli sposobność o nim kilka słów napisać później.

Panna Bernhardt skromnie na afiszu przypomniła nam, że występuje jako amatorka, i z tego względu jeszcze śmieliej możemy pochwalić rzeczywiste zalety jój śpiewu. Zapewne, że artystka mająca więcej pewności siebie, mogłaby wlać więcej życia i dowcipu w cavatinę z Cyrulika, więcej rozpaczy w smutny *Zal dziewczyny* Moniuszki; — ale z tём wszystkiém śpiew panny B. bynajmniej nie jest bez wdzięku i uczucia, a sumiennosc w wykonaniu nadzwyczajna, głos miły i dobrze wyrobiony. Daj nam Boże, abyśmy na przyszłych koncertach tylko tak śpiewające słyszeli amatorki. Ale niestety! boję się czy to nie będą z naszej strony *pia desideria*.

Jan Kleczyński.



## Przejazd przez szczyty Kaukazu.

skreślił

Kazimir Łapczyński.

(Dokończenie.)

Najtrudniejszy skok był już jednak zrobiony. Wisiała wprawdzie nad nami owa reszta kołnierza, co to niezadługo spodziewano się jej obsunięcia, ale pocóż koniecznie miała teraz się staczać.

Część drogi po której obecnie jedziemy, na przestrzeni kilku wiorst ma na sobie wieczną śniegową skorupę, a śniegowe obwały z Gudu nawet w lipcu czasem spadają. Wypadki z podróznymi bywają częste. Przed naszym przejazdem, w czasie wojny wschodniej, pułk dragonów, marszerujący z Rosyji na turecką granicę, na Gudzie spotkał się ze spadającym obwałem. Kilku ludzi i kilkanaście koni zginęło, bardzo wielu uratowano.

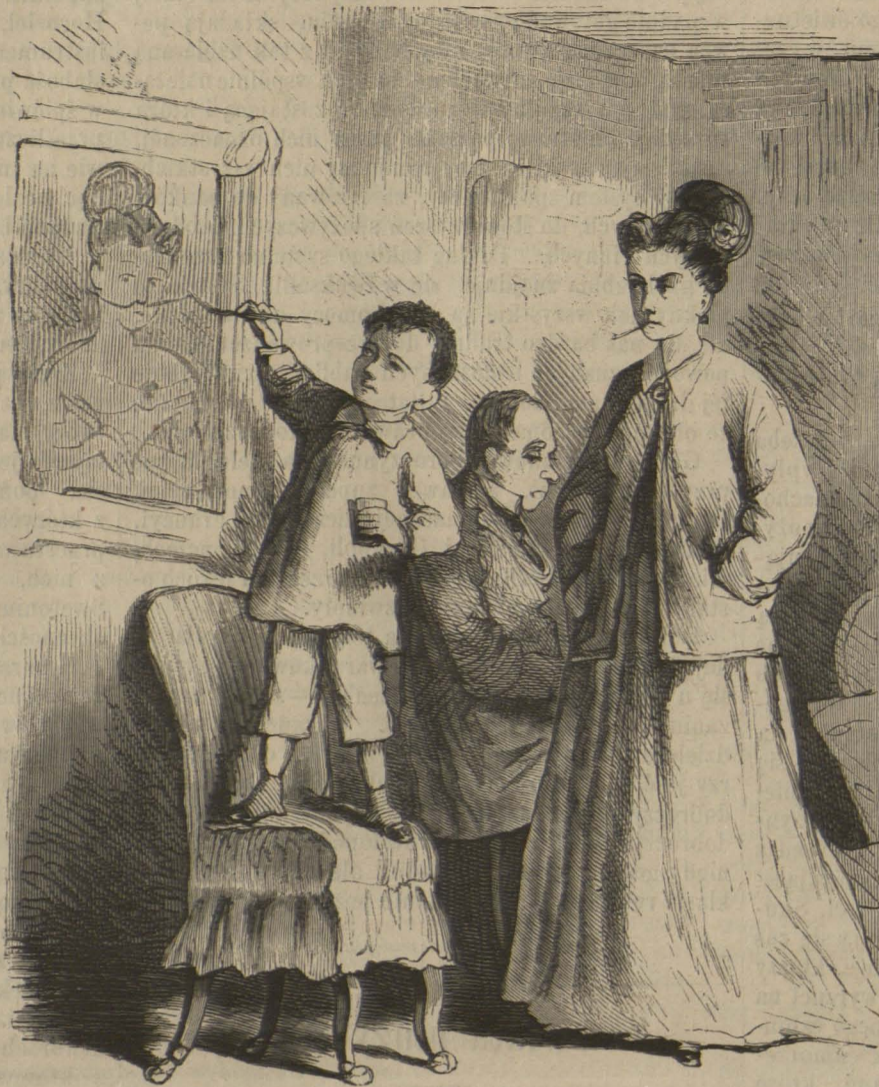
Wjechaliśmy na dolinę głębokim śniegiem zaslaną, wśród białych stert, zasp i kołnierzy położoną: jest to sławna *dolina Czarta*. Gud słynie z obwałów, a ta dolina ze śniegowych zamieci. Niejeden tu został zasypany, ale w czasie naszego przejazdu cicho było jak w grobie.

Za doliną Czarta jeszcze jedziemy pod górę kawałek, aż nareszcie u podnóża góry Krzyżowej stajemy na najwyższym punkcie naszej drogi, na dziale wodnym. Wszystkie wody za nami spływają do Kuru, wszystkie przed nami do Tereku. Nad poziom morza jesteśmy około 8000 stóp wyniesieni, to jest znajdujemy się mniej więcej na wysokości tatrzańskiej Łomnicy; ale wszędzie dokoła nas niesłychanie wyżej dźwigają się białe gromady.

Z tego punktu zachwycający ma być widok na Georgią; niejedno pióro kusiło się, żeby go wymalować, ja nie zgo-

## RYSONKI HUMORYSTYCZNE

Franciszka Kostrzewskiego.



**Sprytny synek.**

— Mamol! mamol!... Patrz, jakie ja ci wasy dorobiłem!... Jak teraz papa cię zobaczy, to jeszcze więcej będzie się bał.

### Partya Guico Piano.

Białe.	Czarne.
J. Kleczyński.	S. Winawer.
1) E2—E4 . . . . .	1) E7—E5.
2) G1—F3 . . . . .	2) B8—C6.
3) F1—C4 . . . . .	3) F8—C5.
4) C2—C3 . . . . .	4) G8—F6.
5) D2—D4 . . . . .	5) E5—D4 białą.
6) C3—D4 białą . . . . .	6) C5—B4 †
7) C1—D2 . . . . .	7) Roszują.
8) E4—E5 . . . . .	8) D7—D5.
9) C4—D3 . . . . .	9) F6—E4.
10) Roszują . . . . .	10) C8—G4.
11) D1—A4 (1) . . . . .	11) G4—F3 białą.
12) D2—B4 białą . . . . .	12) D8—G5.
13) G2—G3 . . . . .	13) G5—H5.
14) F1—E1 . . . . .	14) E4—G5.
15) B4—F8 białą . . . . .	15) G5—H3 †
16) G1—F1 . . . . .	16) H3—F4.
17) H2—H4 . . . . .	17) H5—G4.
18) E1—E3 . . . . .	18) F4—D3 białą.
19) E3—D3 białą . . . . .	19) F3—E2 †
20) F1—G1 . . . . .	20) E2—D3 białą.
21) F8—C5 . . . . .	21) C6—E5 białą.
22) B1—D2 . . . . .	22) B7—B6.
23) A4—B3 . . . . .	23) E5—F3 †
24) D2—F3 białą . . . . .	24) G4—F3 białą.
25) C5—B4 . . . . .	25) A7—A5.
26) A1—D1 . . . . .	26) D3—E4.
27) B3—F3 białą . . . . .	27) E4—F3 białą.
28) D1—D3 . . . . .	28) A4—B3 białą.
29) D3—F3 białą . . . . .	29) A7—A2 białą.
30) F3—B3 . . . . .	30) C7—C5.

Białe przegrywają.

ła nie widziałem, gdyż padły pokryte były chmurami gęstymi jak śmietana; tylko dla nas na szczytach świeciło blade, podbiegunowe słońce.

Zaczynamy spuszczać się zwolna ku dołowi, po północnych już stokach Kaukazu. W odległości dwóch wiorst od wodnego działu, na dzikiej dolince, zbudowany jest przytułek, na wzór alpejskich, dla podróżnych zbłąkanych w czasie zamieci. Dwie rodziny osetyńskie stale tu zamieszkują i mają obowiązek ciągle dzwonić, w czasie często trafiających się na tych wysokościach śnieżnych zadymek, ażeby wędrowiec wiedział, w której stronie może szukać pomocy. Miejsce to nazywa się Bajdara i jest 7782 stóp nad poziom morza wzniesione. Na całym Kaukazie tylko forteczka kodorska jest wyżej od Bajdary wzniesionym punktem, stale zamieszkałym przez człowieka.

Kaukazka Bajdara wcale niepodobna do krymskiej, opiewanej w sonetach Mickiewicza. Dla jadących od południa, jest to epilog bardzo stosowny do doliny Czarta i przepaścistego Gudu.

Za Bajdarą coraz gwałtowniej zniżamy się ku dołowi. Wielbłądy zaczęły się ślizgać i przewracać po złodowiałej drodze. Nie było rady, posiadaliśmy wszyscy i przez pięć wiorst spuszczałyśmy się coraz niżej piechotą. Potem wiorsta równej drogi i jesteśmy na stacji pocztowej w Kobi, witani przez nagromadzonych tam podróżników jak przybłądy z innego świata i jak zwiastuny otwierającej się nanowo przez góry komunikacji.

Kobi wzniesione jest 7053 stóp nad poziom morza i leży w chewskiej dolinie, co ma nas coraz niżej w dół sprowadzać, pod przewodnictwem burzliwego

(1) Posunięcie bardzo ryzykowne, w skutek którego czarne rozwijają piękny atak.

Tereku. Okolice Kobi bogatą jest w liczne mineralne źródła i latem ma być prześliczną; dolinę bowiem dość wtém miejscu obszerną, zblizka otaczają w koło szczyty wiecznymi śniegami pokryte. Zostałem pozbawiony całego uroku, bo śnieg był wszędzie, a wiecznego od tegorocznego odróżnić nie mogłem.

W Kobi skończyła się nasza wielbłądzia jazda. Żegnając mego wierzchowca, przez wdzięczność że mnie z Gudu nie zrzucił, dałem mu kilka kawałków cukru, ale wzgardził takim śniadaniem. Był to rosły dwugarbowiec, ciemniejszy od swoich kolegów. Bardzo obfita grzywa wisiała mu u podgardla; garby i nogi były także suto frendlami obwieszane, a na wierzchu głowy sterczały olbrzymi kędzierzawy czub, nadający mu groźną minę. Były to strachy na Lachy, łagodny był bowiem jak owieczka i gdyby nie mazgajskie jęki i nie pysk wiecznie zaśliniony, stałby się dla mnie bardzo sympatyczną figurą.

Po herbacie, co nam smakowała jak nigdy, pocztowa trójka niosła nas dalej po nierównej i wyboistej drodze. Biało dokoła, my jednak trzęsiemy się na bryce, bo za kilka wiorst śnieg i sania się kończą. Konie szły ostro, doktor był w złotym humorze. Wykreślił się w tył, kiwał palcem i wołał:

— Iwaniesie! Ja tobie teraz powiem kazanie. Patrz! Ludzie niecierpliwi jadą, a kunktatorowie marzną w kajszaurskiej kozie.

Ujchawszy wiorstę, spotykamy się z Terekiem. Dawna to moja znajomość, ale dziwnym przeciwieństwem losu, znałem go spokojnym starcem, zmierzającym do kaspijskiego grobu, a teraz jego młodość burzliwą oglądam. No, no,... kto by to się domyślił, patrzając tutaj na niego, że się z czasem piwko wyszumi i że taki zajadły rębacz, krzykliwy burda i urwipołec, wyjdzie na cichego, spokojnego, chorowitego staruszka z pod Kizlaru, drzemiącego wśród oczeretów.

(Ob. dodatek.)

### Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 43.

Miłość jedynie, to majątek szczerzy,  
Sława, to jeno bursowe papiery.

(Dodatek.)



Śnieg się skończył; szaro dokoła. Ostro jedziemy po twardej drodze prawym brzegiem Tereku, spuszczać się coraz niżej. Wprawdzie dziury, doły, przepaście i spieniona rzeka zapraszają nas często w objęcia, ale poczytliwi ani zważa na takie bagatele, silnie trzymając się swoich zasad: gdzie równo — wyciągnięty klus, z każdej góry — co konie wyskoczą.

Dolina chewska cokolwiek zwięzać się zaczyna i na bokach skalistych ścian, co ją z dwóch stron otaczają, zaczynają się pojawiać stare baszty, wioski, cerkwie starożytne, pamiętające czasy Tamary, a nawet gdzieś tam grupy drzew. Są to święte gaje Osetynów. Rabać te drzewa zbrodnia, bo to nietykalne mieszkania aniołów.

Nad ścianą otaczającą dolinę z lewej strony, sterczy straszliwa głowa Kazbeku, czyli właściwiej Mkinwari, jak chciał Iwanus. Olbrzym jest dwa razy wyższy od Łomnicy, a o pionową wieść od Mont-Blanc, ma bowiem 16,480 stóp wysokości. Straszna głowa, wypudrowana całymi górami stwardniałych śniegów i lodowisk, zdaje się że zagląda do chewskiej doliny i namyśla się czy już nie czas pogospodarować w niej po swojemu. Gospodarstwo Kazbeku na tem zależy, że co siedem lat spuszcza do doliny lawinę i na półmilionowej przestrzeni zasypuje ją lodowymi bryłami. Warstwa spadłych lodów mięwa około 60 sążni grubości. Zatamowany Terek przemienia się w wielkie jezioro i ledwie po kilku dniach wybija tunel w lawinie. Rok, a czasem dwa lata upływa, nim ogromne lodowe sklepienia tego tunelu zupełnie się roztopią. Dlatego powiedzieliśmy, że co siedem lat spada lawina, ponieważ takie jest stałe podanie pomiędzy Osetynami, które od nich i do innych narodowości przeszło i uparcie krąży po Kaukazie. W rzeczywistości inaczej się dzieje: peryód spadania jest bardzo zmienny, średnio od siedmiu lat znacznie dłuższy. Rok 1776, 1785, 1808, 1817, 1820, 1832, oto lata klęsk chewskiej doliny. Od roku 1832 do roku 1856, to jest do czasu naszej podróży, ani razu lawina nie spadła. Czy w ciągu ostatnich lat dziesięciu staczała się? nie wiem, ale wątpię, bo czytaliśmy zapewne o tem w gazetach.

Bardzo szybko przejechaliśmy 16 i pół wiorst od Kobi do wsi Kazbeku, gdzie jest stacya pocztowa. Przed pocztą otoczyło nas grono osetyńskich chłopaków, sprzedających tu zwykle podróżnym wielkie górne kryształy, co je nieraz z narażeniem życia z sąsiednich skał strącają.

Mieszkanie dla podróżnych jest tu obszerne i we wszystkie gastronomiczne potrzeby, zbytki nawet, sownie zaopatrzone. Szampana, kseresu, angielskiego piwa, dżinu i innych najróżnorodniejszych wódek możecie dostać na zawołanie; ale wysokość ceny stosowna będzie do wysokości miejsca, a wieś Kazbek 6,362 stóp nad poziom morza jest wzniesiona. Jeżeli chcecie taniego trunku, napijcie się ze mną naturalnej szczywy, gdyż jej mineralne bogate źródło zaraz za wsią się znajduje.

Niedaleko od pocztu stoi dom tutejszego dziedzica, księcia Kazibeka, i bardzo ładna cerkiewka świętego Stefana, fundacyi matki księcia.

Konie już zaprzęgnięte. Jedziemy dalej. Skały coraz groźniejsze, dolina coraz węższa; pilnujemy się ciągle prawego brzegu Tereku. Ujechawszy wiorstę, wymijamy złowrogie Kuro, czyli *wściekły parów*, jak nazywają drudzy. Parowem tym po każdej ulewie toczą się ze skał ogromne kamienne bryły po Tereku i przerywają komunikacyę, gdyż droga w poprzek przez Kuro przechodzi. Huk toczących się po skałach kamieni, jak nieprzerwany grzmot, rozlega się wtedy po okolicy. Skoro ulewa minie i wody szybko spłyną, zaraz po poezyi następuje proza, to jest mozolne łatanie popsutej drogi. Nietylko Kuro psuje drogę; obwały śniegowe i obrywy całych skał dość często się tu zdarzają, szczególnie w czasie wiosennych roztopów.

Ujechaliśmy dziewięć wiorst, coraz gwałtowniej spuszczać się ku dołowi. Ściany ogradzające z boku chewską dolinę, ciągle zbliżając się ku sobie, tak się już przysunęły teraz blisko że dolina przemieniła się w niesłychanie ciasny wąwóz, dno którego zaledwie na łożysko dla Tereku wystarcza. Droga, nie mając się gdzie pomieścić, w skale sobie kilkowieściową niszę wykuła i tamtędy się

z biędą wlecze. W wąwozie ciągnie mrok, bo boczne ściany prawie pionowe, mają około 3000 stóp wysokości ponad Terek, czyli że wąwóz podobny jest do bardzo długiej ulicy, zabudowanej kamienicami o 200 piętach. Wszystkie okna i drzwi są naturalnie zamurowane, a domy mają ponurą barwę bazaltów i porfirów. Ulica gwałtownie spuszcza się ku dołowi i po każdym deszczu bruk ma ruchomy, Terek bowiem toczy wtedy wielkie kamienne bryły po swoim wyszlizganym łożysku. Spadek Tereku jest gwałtowny, to też i prędkość odpowiednia. Najmniejsza przeszkoda do wściekłości go doprowadza: nie szumi, ale bez ustanku ryczy, jak lew rozjuszony; echa ciemnych skał powtarzają te groźne ryki, i w piekielnym miejscu gra bez przerwy piekielna muzyka.

Ten straszny i sławny wąwóz, to *Porta caucasica*, czyli *Caucasiae pylae* starożytnych, to arabski *Babilan*, georgiański *Chewis-carri* (drzwi wąwozu) i turecki *Dar-joly* (ważka droga). Ostatnia nazwa powszechnie dziś została przyjętą, i wąwóz darialskim się nazywa. Tu była dawniej georgiańska granica.

W najciaśniejszym miejscu wąwozu, na wysokim ustępie skały, pilnuje wejścia do starożytnej Iberyi bezbronna, ale poważna ruina zamku. Według georgiańskich kronik zamek ten zbudował król Mirian, na półtora wieku przed Chrystusem, a król Dawid w XII wieku z gruntu go odnowił. Podanie inaczej rzecz opowiada. Lud piekielne miejsce bajeczną jeżdżą zaludnił. Legenda utrzymuje, że zamek Darial się nazywa, bo go wybudowała piękniejsza od anioła królowa Daria. Całe życie tu mieszkała, i przez okno na Terek wychodzące, o świcie kazała wrzucać do rzeki codzień innego zniechęconego już kochanka. Nie chciałem być w jego skórze i kapać się tutaj w Tereku. Słyszałem od naocznego świadka, że gdy przy naprawie mostu jeden robotnik wpadł w czasie powodzi do rzeki, natychmiast przez toczące się kamienie w kawałki był rozszarpany. Most o którym mowa, tuż za starym darialskim zamkiem, przeprowadza drogę na lewy brzeg Tereku, gdzie się wznosi silna przedmowa fortyfikacya, skończona w r. 1846 i stale zajęta przez kompanię piechoty. Smutno tu mieszkać w tym ciągłym mroku, bo słońce tylko przez kilka godzin dziennie do tej olbrzymiej szpary zagląda. Przedmowa fortyfikacya jest 4300 stóp nad poziom morza wzniesiona.

Za Darialem wąwóz się rozszerza. Groźny jest jeszcze bardzo i na każdym jadącym z północy, co jeszcze *wrót Kaukazu* nie widział, silne robi wrażenie.

Dojechaliśmy do Larsu. Jest to niewielka osada ze stacyą pocztową. Na górze wznosi się zameczek, do r. 1803 własność osetyńskiej rodziny Dudarowych, dziś rządowa.

Za Larssem ściany wąwozu maleją; wąwóz przestacza się w coraz szerszą dolinę. Dalej skały przodzierzają się w rozsiałe góry, a liściaste lasy zaczynają się na nich coraz większymi płachtami rozpościerać. Minąwszy po drodze Bałte, maleńką osadę, gdzie jest mieszkanie inżyniera i przeprzęg koni, stanęliśmy we Władykaukazie, u północnego podnóża Kaukazu. Forteczka władykaukazka stoi na miejscu dawnego osetyńskiego aułu Kapkaj i otoczona jest obszernymi przedmieściami, które rokrocznie wzrastają. Terek, chociaż tu jeszcze gwałtowną górską jest rzeką, nie ten już jednak co w Dariału. Widocznie burzliwa młodość się skończyła.

Znajduję w moich kaukazkich notatkach więrsze młodego Georgianina, pod tytułem: Terek i Aragwa. Ponieważ wiernie charakter tych dwóch rzek poznanych przez nas malują, przytaczam je w dosłownym tłumaczeniu, na zakończenie naszego przejazdu; od Władykaukazu bowiem już równina się zaczyna, nie mam więc prawa dalej czytelnika prowadzić, dawszy mu z góry zapewnienie w tytule, że go tylko przez szczyty Kaukazu trudzić będę.

Posłuchajmy słów kartalińskiego poety:

„Tam w górze, na wyżynach nadobłocznych, jasna i zimna śniegów kraina. Tam kraina śmierci i życia kolébka. Tam nie kwitną róże i granaty, nie śpiją słowiki, ale jęczą Prometeusz i ciemne, podziemne jaskinie rodzą w boleściach czyste źródła, ażeby ziemię odrodzić. Patrz, jakie dwa źródła bogate! Ledwie wydarły się z otchłani, zaraz dwie rzeki wspaniale płyną ku ranniej jutrzence. Płynie Te-

rek nieskalany, płynie nieskalana Aragwa. O dzieci szczytów! połączcie wasze czyste wstęgi i wody niezbrukane ponieście w darze morskim falom nieskończonym! Połączmy nasze czyste wstęgi, szumią Terek; połączmy, szumią Aragwa. Ale zimna w śniegowej czadrze skała, milcząc stanęła między niemi i rozłączyła ich nazawsze. Ryknął spieniony Terek i wieczną zemstę całemu rodowi skał zaprzysiągł. Perłowemi łzami zalała się cicha Aragwa. O! biedne dzieci nadobłocznych wyżyn, rozbiegły się wasze drogi! Ona poszła na południe, marząc o starożytnych zamkach, co nad jej brzegami zasiadły marząc o rycerzach dawno uspiionych w mogile, i w bezpłodnych marzeniach zatopiona, spuściła się tak nisko, że na grobach wielkich królów, w starożytnej iberijskiej stolicy, z poziomym Cyrusem (\*) stanęła przy ołtarzu. Wziął ją w mętne objęcia, stał z jej czoła czystość szczytów, jasne myśli zabrukał, szybko wyniósł na jałową, poziomą i zaraźliwą pustynię, i wleki się leniwo, póki ich morze nie pochłonęło.

„Ponury Terek biegł ku północy; przysięga zemsty nie dawała mu chwili spoczynku. Wściekłym zębem głazy na miazgę ścięrał, jak kret rył nory podziemne, jak proch rozsadał skały olbrzymie, jak miecz płał góry na połowę, i sądząc że niezadługo całe kamienne plemię zatraci, wyczerpany i bezsilny stoczył się na niziny. Gdzież moje wody czyste? Gdzież moje ojczyście szczyty? Gdzież Aragwa, siostra nieskalana? O! biedny zemsty męczenniku! Mętny i zbrukany, poniosłeś wody bez blasku morskim falom w ofierze.

„I on i ona wpadli do grobu wszystkich źródeł. Czy się oczyszczą z podróży mętów? Czy odzyskają czystość niepokalaną? Czy w jasny obłok przeistoczeni, pławić się będą po niebieskich przeczach? Któż się odpowiedzieć ośmieli!”

K O N I E C .

## Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

Odczyty Baker'a o Abisynii. — Król Teodor. — Zdanie o nim p. Plowden'a. — Zjazd archeologów w Bonn. — Wystawa sprzętów starożytnych. — Zapomniany obraz Rafaela. — Nowe powieści niemieckie: „Pasierb szczęścia,” przez Ernesta Wilkoma; „Reklama,” Karola Schultes'a; Otto Müller; „Miłość i chleb,” Hugona Oelbermann'a. — Kalendarze. — Teatr: Laube'go „Zle języki.” — Reforma zwyczajowa w teatrach londyńskich. — Karol Gutzkow i jego zbiór: „Z drzewa świadomości.”

Znany ze swych odczytów o źródłach Nilu, Sir Samuel Baker, mówił niedawno w Instytucie królewskim w Londynie o Abisynii, która dotąd jeszcze nie przestała zajmować Anglików. W teatrach przedstawiają Zdobycie Magdali, w uniwersytetach tłumnie gromadzą się na odczyty o wyprawie o kraju długo zaniedbanym i nieznanym prawie w Europie; mnóstwo prytém monografij wydają księgarnie angielskie. Dopiero wyprawa Napiera zwróciła uwagę na starożytną tę krainę królowej Saaby, której ostatni spadkobierca z takim heroizmem dokonał życia awanturczego. Historia stosunków angielskich z Abisynią i królem Teodorosem jest dosyć ciekawą. Teodoros począł od najserdeczniejszej przyjaźni z Anglią. Pan Plowden, brat konsula, którego cytuje Baker, tak o nim pisał w owym czasie: „Król Teodor jest młody, zręczny we wszystkich męskich zajęciach, twarzą znaczącą, bardzo grzeczny i miły gdy mu się kto podoba, a nadewszystko obdarzony wielkim taktem i roztropnością. Ma on przekonanie głębokie o swój misji dźwignięcia starożytnej sławy Etyopów i świetnych zdobyczy; moralnie i fizycznie energią posiada niezłomną, a męstwo jego osobiste nie zna granic. Wprawiony w gniew, jest straszliwy, wszystko drży naówczas, i Teodoros nie jest już panem siebie. Niezmordowany w pracy, odpoczywa mało dniem i nocą; myśli ma jasne, mówi bez ogródki i wyraża się dobitnie. On sam i to co go otacza, wahać się nie umie. Lubi wystawę, przyjmuje wspaniale, nawet wśród wypraw wojennych; w karaniu okrutny, ale surowość potrzebną jest

(\*) Starożytni Kur nazywali Cyrusem.



przy abisyńskich rozbojach. Każdemu ze swych poddanych klania się i wita go grzecznie. Głęboko religijny i gorliwy, niezawsze jednak dobrze interes religii rozumie. Jeśli w gniewie popełni omyłkę, przyznaje ją chętnie. Bogactwami pogardza i szczerym jest do zbytku, a chciwym tylko oręża i uzbrojenia dla swych żołnierzy. Dotąd postępował ze zwycięzonymi bardzo łaskawie, raczej jako przyjaciel, niż jako wrogów ich uważając. Wiara jego zadziwia i zdumiewa. „Niczem nie jestem bez Chrystusa, mówię o sobie, a jeśli on chce mnie użyć do odrodzenia tego kraju, któż potrafi mnie wstrzymać?”

„Złą stroną jego charakteru są uniesienia gniewu, którym się poddaje czasami, duma z jaką swych praw królewskich broni i fanatyczna gorliwość religijna. Ożeniony wedle przepisów kościoła, życie wiedzie jaknajskromniejsze. Wszystkich nawet otaczających skłonił do naśladowania siebie w tym względzie, lub nakazywał im postępowanie podobne. W mowie i obejściu zachowuje przyzwoitość jaknajwiększą, spodziewając się że to i na naród wpłynie. Zamiast ustnych rozkazów, wprowadził użycie piśma. Niewiadomo gdzie i jak dostał i przeczytał dzieło o misji jezuitów w Abisynii, i odtąd postanowił nie dopuszczać obcych księży do kraju. Dozwala cudzoziemcom wyznawać ich wiarę wedle własnego obrzędu, ale zakazuje wszelkiej propagandy przeciw obrzędowi Koptów. Praw swych monarszych jest gorliwym obrońcą i stara się od wszelkich napaści je ochraniać. Ma zamiar wysłać poselstwa do wielkich mocarstw europejskich, z którymi na stopie zupełnej równości się czuje. Bez wątpienia, kończy p. Plowden, niektóre jego pomysły są niepraktyczne, ale człowiek co się tak wzniósł własną siłą nad barbarzyństwo, bez rady, bez pomocy obcój, który już tyle dokonał i tak wielkie ma zamiary, nie może być nazwanym pospolitym człowiekiem.“

W rozmowach swych z Plowdenem, malował się on jeszcze lepiej.

Raz, w czasie panującej cholery, odezwał się do niego: „Bell i ty, jesteście jedynymi ludźmi, na których przywiązanie rachować mogę. Abisynią rządzi wola Boża; wiele mam jeszcze do zrobienia. Gdybym tej nocy umarł, lub gdyby mnie zamknięto w klasztorze, czegożby to dowodziło? Chyba że Bóg nie chce się mną posługiwać więcej. Gdybyście mi dali całą tę izbę pełną złota, co mi po niem? Pragnę mieć tylko umiejętność rządzenia tym krajem sprawiedliwie i zaprowadzenia w nim porządku. Bóg mi dał ten tron, mnie com się urodził żebrakiem; niechże mi też da mądrość i poznanie!“

Drugim razem, gdy jechał na wyprawę, odezwał się do Plowdena, który nie chciał od niego przyjąć podarunków: „Mój kraj wymaga po mnie a-bym był dla obcych gościnnym; powinienem umyć nogi przychodniom. Czyż ja potęgą teraz mam dach nad głową i nie błąkam się po pustyni? Nie daję wam ani odzieży, ani żółdu, daję wam tylko chleb i wodę, które przyjąć powinniście. Wiem że wy macie bogactwa, których ja nie posiadam; to też pożyczam wam tylko, a wy mi oddacie w inny sposób.“

Cała ta rozmowa doskonale maluje usposobienie ówczesne Teodora.

Plowden odpowiedział mu: „Ale ja niczem wam służyć nie mogę, chyba pani moja, królowa.“ Na to Teodor odparł: „Posłuchaj! Bez woli Bożej wszystkie potęgi ziemskie nic mi nie uczynią, ja się ich nie lękam; ale wasza królowa, chrześcianka, przysłała was do mnie; łączy nas jedna wiara. Chrystus chce abyśmy byli w przyjaźni. Bóg może w ten sposób prowadzi mnie ku dobremu.“

Potem wziął na stronę p. Plowden'a i ofiarował mu tysiąc dolarów, aby miał z czego żyć wygodnie w czasie jego niebytności; ale Plowden odmówił. Chwycił go wtedy za rękę. „Wszystcyśmy śmiertelni, rzekł; jeśli mnie jakie nieszczęście spotka, opiekujcie się synem moim. Pisz do swych współziomków, powiedz im żeś miał we mnie przyjaciela, który was wszystkich kocha, który chciał do was wysłać poselstwo i prosić o przyjaźń a opiekę dla syna.“

Plowden zgodził się na to, a Teodor go pożegnał: „Kocham cię i ufam tobie. Bądź zdrow!“

Po śmierci Anglików Bella i Plowdena, napastowany przez nieprzyjaciół, w walkach ciągłych, Teodor zmienił charakter, stał się gniewnym, zgryźliwym, nieufnym. Napaść Egipcyan, znalezienie się p. Cameron, posła późniejszego angielskiego, burzyły go i gniewały. Teodor stał się w końcu nieprzyjacielem Anglii, która jego nadzieje zawiodła. Jest rzeczą pewną, że więcej względności dlań i baczności na ten kraj, mogłyby nietylko zapobiedz następstwom przykrym, ale wpłynąć na losy Abisynii, która zasługiwała na to, aby ją dźwignięto i posilkowano.

P. Baker w swoim odczycie, oprócz wizerunku króla Teodora, skreślił obraz zajmujący kraju.

O zjeździe archeologicznym w Bonn nie wspomnielibyśmy może, gdyż zajmował się kwestyami starożytności i sztuki, niewiele nas obchodzącymi, ale zadania ogólniejsze które roztrząsano, i dla nas zajmującymi być mogą. Między innymi postawiono pytanie, jakie są najwłaściwsze środki dla rozbudzenia u ludu zamiłowania w sztuce, i czy publiczne wystawy cel ten osiągnąć mogą? Zgodzili się na to wszyscy, iż wystawy dzieł sztuki, szczególnie bezpłatne, są może jedynym sposobem powolnego kształcenia w tym kierunku. Dziwi nas wszakże iż nie tknięto, mówiąc o tém, bezpłatnej nauki rysunku i wzorów, której rozpowszechnienie tak znakomite od lat kilku wydało owoce w Anglii. Wystawa sprzętów starożytnych w Bonn, szczególnie robót złotniczych, miała być wielce zajmującą. Przywieziono na nią z Akwisgranu sławną *Palla d'oro*, z Limburga wspaniałą hierotekę, z Trewiru przepyszne relikwiarze, emaliowane krzyże z Essen, kosztownie oprawne księgi z czasu Ottonów, wiele wyrobów z kości słoniowej z XIII wieku, a jeden z francuzkich członków kongresu miał sobie powierzone z Paryża dwie skrzyneczki ozdobne z czasów świętego Ludwika.

Niemieckie pisma, traktujące o sztuce, teraz dopiero wspomniły o obrazie przyznawanym Rafaelowi, który już od roku przeszło, jeśli nie więcej, znajduje się w Luwrze. Wystawia on św. Jana na puszczy. Obraz ten doznał losów szczególnych. Znajdował się najprzód we Florencji, z kąd przeszedł do królego z królów Francji. Aż do r. 1752, jak się okazuje ze starych katalogów, uchodził za dzieło Rafaela. Później popsuty znacznie, odczyszczony źle, został zapisany jako dzieło mistrza nieznanego szkół włoskiej. Tak mało go szacowano, że na prośbę księcia de Maille oddano go jakiemuś małemu kościółkowi. Tu obraz doznał tak nieszczęśliwego zaniedbania i tak był nadwierzony, że książe go nazad odebrał, ale do muzeum już nie wrócił. Po śmierci księcia kupił go na licytacji handlarz obrazów Cousin za.... wyraźnie pięćdziesiąt dziewięć franków. Zarząd muzeum wytoczył mu proces i odzyskał własność.

Obraz ten oglądaliśmy bardzo bacznie z kilkoma znawcami paryzkimi, wkrótce po jego umieszczeniu w galerji. Znaną jest kompozycja autentyczna Rafaela, wystawiająca św. Jana na puszczy, kilka razy przez niego powtarzana. Jeden taki św. Jan znajdował się w Warszawie u dra Wolffa, podobno ze zbioru Soult'a. Niepodobna przypuścić, aby malarz przedstawiając jedną postać, w prawie jednakiem otoczeniu i warunkach, nie zachował stałego charakteru w jakim ją pojął. Otóż św. Jan Luwru różni się niezmiernie od znanego już podobnego Rafaelowskiego; styl, rysunek, wyraz postaci jest inny i przedrójbyśmy obraz Luwru przypisali Giulio Romano, niż samemu mistrzowi. Wielu się na to z nami zgadzało. Płótno jest mocno uszkodzone, a nowa restauracja śladów zniszczenia zatrzeć nie mogła.

Z nowości powieściowych niemieckich wiele zajmujących wymienić możemy. Album biblioteki niemieckich oryginalnych romansów, przynosi najprzód trzypiętomowy humorystyczny utwór Ernesta Wilkoma pod tytułem „Ein Stiefkind des Glücks“ (Pasierb szczęścia). Powieść ta odznacza się szczególnie wielką prawdą charakterów i fizjonomij, zaczerpniętych widocznie z rzeczywistości, pełnych życia, a przedstawionych z humorem nader miłym i pociągającym. Autor nie silił się na wymysły, na ruszto-

wania sztuczne, na intrygę; całą jego zasługą wierne zdjęta kopia z natury, a jak się niektórzy domyślają, może nawet własne wspomnienia, ozłoczone miłością drogiej przeszłości. Stary dwór i rodzina Wunderlichów odmalowane są serdecznie; równie wybornie i trafnierysuje się sąsiedztwo, ekonomia Bieberloh i jej mieszkańcy. Sam dziedzic żywcem zdaje się sfotografowany. Iniej zręczne są (widocznie dokomponowane) przygody węgierskie. W ogóle „Pasierb szczęścia“ mile się czyta i przywiązuje, chociaż w przekładzie wieleby z tego uroku stracić musiał.

Małe miasteczko, wyborny materyał dla powieściopisarza, dostarczyło treści do dwutomowego romansu Karola Schultes „Reclame“ (Jena, u J. Hermsdorfa). Wśród nieco zardzewiałej społeczności, zdomowionej, parafiankiej, dwóch gości ze stolicy odegrywa rolę bardzo zabawną i naturalnie ważnością swą przejętą. I tu jeszcze realizm panuje, ideałów nie szukać.

Dwie powieści Ottona Müllera, wydane razem, mniej się zalecają od poprzedzających, chociaż pierwsza z nich „Die Feuerdore“, pod względem psychologicznych spostrzeżeń i anatomicznych studyów nad heroiną, do pewnego stopnia obudza zajęcie. Druga, mniejsza powiastka „Helm z pod Kann“ (Der Helm von Cannä), może być zabawną, ale prawdę powiedziawszy, zadanie jej nie wydaje się szczęśliwą inwencyą. Pewien wielki miłośnik starożytności, który posiada zbiór piękny różnych zardzewiałych rupieci, chce go koniecznie z bogactwem zdobyć hełmu, który jakoby Annibal miał nosić w bitwie pod Kannami. Hełm ten ni mniej, ni więcej znajduje się w Muzeum klementyńskim w Rzymie; potrzeba go więc ukraść. Na tę wielką wyprawę, której cel tylko szalona miłość starożytności uniewinnić może, wybiera się ów pan ze strzelcem swym Lutzem, który mu ma dopomagać, przygotowany należycie do pochwycenia prędkiego i ukrycia zdobywcy pod płaszczem. Wyprawa do Rzymu udaje się, ale naturalnie towarzyszą jej mnogie wypadki, których powtarzać niewarto. Koncept wcale nie wysmienity.

„Miłość i chleb“ (Liebe und Brod) Hugona Oelbermann'a (Jena, Costenoble) odznacza się bujnemi kontrastami najpospolitszej rzeczywistości i najwyższego idealizmu. Prawdopodobieństwa autor szanować nie chciał i nie myślał. Wprowadza wypadki na scenę, na której się one zdarzyć nie mogły, ale zuchwałstwa te popełniane są z takim talentem, z tak szczęśliwą często charakterystyką, że się je chętnie wybaczają.

Kalendarze, chociaż do Nowego roku wielu z nas co je oglądamy może nie dożyje, już się wszystkie prawie ukazały ze pstremi okładkami. Cała ta sztuka wyjęć conajrychlej, spółzawodników wyprzedzić. Z pierwszym październikiem opóźnione nawet są na posterunkach, ale nie tak bardzo odznaczającego się w nich nie znajdujemy. Kilka powiastek, wiele zużytych stalorytów i więcej jeszcze użytecznych przepisów. J. J. Weber z Lipska, wydawca *Illustrirter* gazety, dołączył do tego *Album* świąteczne na Boże Narodzenie.

Wyszła z druku wielkie na scenach niemieckich mająca powodzenie, głośna już sztuka „Złe języki“ (Böse Zungen). Oprócz interesu jaki ona sama obudza (jest bowiem żywo zaczerpnięta z najświeższych obyczajów wiedeńskich i sięga w samo serce społeczności austriackiej), przedmowa którą do niej dodał Laube, zwraca powszechną uwagę. W niej autor historją „Złych języków“ i pierwszych przedstawień w Wiedniu opisał z zupełną otwartością. Wiadomo jakie stanowisko Laube zajmował w Wiedniu, będąc dyrektorem teatru w Burgu. Zapowiedź dramatu tego obudzała powszechnie zajęcie i baron Münch chciał przedstawienie przyspieszyć, wiele licząc na przyjęcie tak żywego, pełnego zajęcia dzieła. Ale w kancelaryi państwa w wydziale teatralnym „Złe języki“ zastrzegły, zdawały się zbyt drażliwymi, bo wistocie są niemi. Dopiero p. baron Beust rozstrzygnął trudność, małych tylko zmian wymagając (historja ministra Bruck'a). Przedstawienia wszakże musiały być wstrzymane, gdy po oddaleniu Laubego od dyrektorstwa, wielce niepopularna dyrekcyja nowa przy każdej sposobności była



przez publiczność niejako prześladowaną hałaśliwymi oznakami sympatii dla Laubego.

„Złe języki“ jak sam autor powiada, doznały najlepszego przyjęcia na tych nawet scenach niemieckich, dla których stosunki austriackie były obcemi. Przypisuje on to skromnie nie własnemu talentowi i zasłudze, ale przedmiotowi zaczerpniętemu z rzeczywistości społecznej. Z tego powodu mówi o zadaniu obyczajowym teatru, o jego wpływie ogromnym, o ważności dyrekcyi, a ostatecznie i o ofiarach jakie się godzi ponosić dla podźwignięcia sceny do wysokości instytucji publicznej. Na to wszystko chętnie się każdy zgodzi; ale niestety, trudno przypuścić ażeby Laube, który się właśnie stara o objęcie wielkiego, nowego teatru w Lipsku, wybudowanego kosztem miasta, miał o tém edylów przekonać. Idzie mu bowiem o to, ażeby teatr otrzymać darmo, (z dodatkiem gazu po cenie produkcji). Laube dowodzi że pragnąc teatr podnieść i przezeń oddziaływać na inne sceny niemieckie, a naostatek uczynić go niezależnym, nieurzędowym, potrzeba uczynić ofiarę. Nigdzieby właściwiej jak w zamożnym Lipsku reforma ta począć się nie mogła. Czy jednak imię i wpływ Laubego skłonią do pójsia za jego radą, rzecz wątpliwa.

Że teatr jakim dziś jest, nie zaspokaja, a nawet upokarza często prawdziwych miłośników sztuki, powtarzać nie potrzebujemy. Tymczasem jedną już reformę zmuszone były dopuścić teatru londyńskie. Wiadomo że w Londynie obyczajem było, iż publiczność musiała przychodzić wystrojona jak na wieczór, *ful evening dress*. Skarżono się na to nieraz, a cudzoziemcom trafiało się od kasy odchodzić bez biletów, gdy białych rękawiczek i fraka nie wzięli. Wszakże, jak we wszystkiem w Anglii, stary obyczaj był twardy i niezwalczony. Teraz dopiero, z powodu zupełnego braku powozów do najęcia i *treve* woźniców, którzy domagają się lepszych warunków, dyrektorowie teatrów pomiarkowali iż stracą ogromnie, bo pieszo nikt wystrojony na teatr iść nie zechce; uchwalono więc że wolno będzie każdemu wnijsć jak mu się podoba. Zapewne tylko w teatrze dworskim (królowej) ubranie wieczorowe będzie obowiązującym.

Do nowości zasługujących na szczególną wzmiankę należy świeżo ogłoszony tom Karola Gutzkova, wydany już po ukończeniu wielkiego obrazu historycznego (Hohenschwangau), pod tytułem: „Z drzewa świadomości“ (*Vom Baum der Erkenntnis, Denksprüche von Karl Gutzkow*. Stuttgart I. G. Cotta). Z tego powodu krytycy niemieccy rozwodzą się w ogóle nad długim i pracowitym Gutzkova trudem i wydają o nim sąd jaknajpochlebniejszy, wyrażając się nawet iż wielkie zasługi myśliciela i pisarza dotąd godnie uznane i ocenione nie zostały. R. Gottschall powiada: „On stulecie nasze w wielkich odmalował freskach, z uznaniem słusznym tego co w niem jest znaczącym, z najsprawiedliwszym taktem w sądzie o wszystkich przesileniach epoki, z wykazaniem źródłowych chwil rozwoju, tam gdzie w pojedynczych postaciach myśl się powszechna uosabia.“

Wistocie, działalność niez mordowana Gutzkova, genialna jego twórczość zaprzeczoną być nie może. Niema prawie przedmiotu, którego by nie tknął w swych artykułach dziennikarskich, powieści lub dramacie. Od „Nerona“ do „Lauri i Mirty“ od „Maha Guru“ do „Czarodzieja rzymskiego“, co za niezmierny szereg utworów, niemal zawsze natchnionych, żywych, pełnych myśli i uczucia które nie ostygły. Ostatnia praca Gutzkova jest zbiorem z długich lat, zapewne przeróżnych idei o Bogu, życiu, prawie wewnętrznym, walce żywota, stanach, wychowaniu, stosunkach ludzi i t. d.

Dzieli się ona na rozdziały, w których aforyzmy ułożone są w pewnym związku analogicznym. Wyjmiemy z nich kilka.

„Sołistą jest ten, którego przekonania podobne są do pokoju mającego drzwi troje.“

„Głębokim jest ten, który milczących ludzi i rzeczy milczące tak rozumie, jak gdyby mówili.“

„Najlepsi i najszlachetniejsi ludzie podobni są czasami do pięknych przedmiotów, które inaczej się

całkiem wydają we mgle i dészczu, niż w słońca promieniach.“

„Często bardzo, nawet po długoletniej osobistej znajomości, uczymy się poznawać ludzi dopiero z ich listów, bo w nich dopiero okazuje się o ile umieją skupić się w sobie. Zadziwiająca jest rzeczą, że wiele osób któreśmy cenili, nie wytrzymuje próby listów.“

„Wielkie myśli otacza boskiej harmonii dźwięk jakiś. Poeta najczęściej słyszy wprzód tę muzykę, niżeli myśl której ona towarzyszy jasno wyrazić potrafi.“

„Te tylko posągi poruszają nas i unoszą, na których podstawie zdajemy się czytać: poświęcone niezmożonemu duchowi, który nieustannie tworząc nowe, nigdy nad stworzonym długo nie spoczywając, w dniach swojego żywota nie miał czasu ni szczęścia spocząć w twórczości swój i uczuć jak go miłowano i szanowano.“

„Ludzie rozum! Mądrość wasza wyżej was stawia nad ludzi uczucia, choć oni was głębokością swą i znaczeniem przerastają. Uciśnieni są lub odepchnięci; ale po latach wielu porównajcie czyny które o was i o nich świadczą. Jak się wtedy sprawy zimnorozsądnych wydadzą nagie, chłodne, bezlistne... gdy z błędów, z upadków uczucia na ruinach wykwiła zieleń wiosenna.“

Moglibyśmy wiele jeszcze i równie niepospolitych przytoczyć cytat, gdyby nie obawa znużenia czytelników i szczupły rozmiar korespondencyi niniejszej zakręślony, który na kilku zdaniach powyższych poprzestać nas zmusza.

## SILNI I SŁABI.

Wzorki w wolnych chwilach wycinane.

(Dalszy ciąg).

### XIX.

Styczeń roku 185\* odznaczał się rzadką wytrwałością mrozu. O błocie, tym piątym żywiole, zapomnieli mieszkańcy Warszawy. Sankarze błogosławili karnawał, a karnawał ciągnął wszelkie możliwe pożytki z sankarzy. Zabawy, tańce, koncerty, maskarady, nie dawały wytchnienia Warszawianom wszelkiego stanu i zamożności.

Nie na szumną zabawę jednak poprowadzimy czytelnika, ale do maleńkiego drewnianego domku na Mokotowskiej ulicy, gdzie Bieniał urządził skromny warsztat ciesielski. Obszerne podwórze, parkanem od ulicy oddzielone, było przez kilka miesięcy lata i jesieni widownią niez mordowanej jego czynności; teraz jednak pokrywał je śnieg głęboki. W domku parterowym staroświeckiej struktury, dwa tylko pokoiki zajmował nowy majster, ze swoim przyjacielem i pomocnikiem Wolskim. Pierwszy pokój był rodzajem kantoru do przyjmowania interesentów i robotników, drugi sypialnią i gabinetem naukowym. Tu to dwaj młodzieńcy, jak anachoreci, przepędzali liczne godziny i dni całe wolne od zajęć fachowych. Książki, mapy, narzędzia fizyczne, zajmowały szczupłą przestrzeń tego pokoju, tak iż prawie przejście zagradzały. Długó w noc błyskało światelko blade z jedyne go okna wychodzącego w podwórze. Nie dochodziła tu wrzawa karnawałowa, ani turkot ulicy — nawet odgłos katarzynki nigdy tu nie zalatał. Była to wieś prawdziwa; nie wychodząc poza bramy parkanu frontowego, można było mniemać że się jest o kilka mil od Warszawy.

Studia rozpadały się na dwa działy. Jedne encyklopedyczne, obejmujące cały zakres wiedzy ludzkiej, drugie bardziej szczegółowe, dotyczące bezpośrednio rodzaju zatrudnienia, któremu się Józef i Jan poświęcili. Ułożono stały program, z określona liczbą godzin na każdy przedmiot. Bardziej poważne nauki, przeplatano czytaniem wyborowych powieści i poezji. Bieniał z początku kilka razy próbował

złamać ten program, tak pod względem czasu, jak i zakresu każdego przedmiotu; ale Wolski z całą ścisłością pilnował systematu.

— Obszar wiedzy ludzkiej jest zarozległy, mówił do Jana pewnego wieczora, gdy z nastąpieniem szarej godziny zasiedli przed kominkiem. Trzeba się w jednych kierunkach ograniczać, chcąc w innych dalej sięgnąć. Nie mamy czasu na naukę z amatorstwa. Trzeba pamiętać o całości, a szczegóły wybrane poznawać jaknajdokładniej.

— Z początku zdawało mi się, rzekł Bieniał, że ja to wszystko pochłonać wkrótce potrafię; tymczasem widokrąg coraz bardziej się rozszerza, a nie widzę nigdzie jego końca.

— Tak, jest to widokrąg nieskończony, a nauka tylko służy za kompas do posuwania się na tym oceanie w obranym kierunku, kręśli granice poznanych rzeczy, wytyka linie perspektywiczne.

— A perspektywa zmienia się ciągle wraz z posuwaniem się naszym. To co się dawniej pokazywało prawdą, dziś staje się złudzeniem; inne zakładamy sobie cele, a inne osiągamy rezultaty. Kolumb płynął do Indyj Wschodnich, a odkrył Amerykę; astrologowie chcieli z gwiazd wróżyć, i dali początek astronomii; alchemicy szukali złota, a znaleźli chemię — a ja szukałem miłości, a znalazłem mądrość, rzekł Bieniał z gorzkim uśmiechem.

— Niesłusznie swoją miłość stawiasz w jednym rzędzie z astrologią i alchemią, zauważył Józef. Jeszcze gra nie przegrana; choćby jednak nie ziściły się twoje marzenia o szczęściu, czybyś żałował kiedy tej pracy, którą na naukę łożysz?

— Nie żałowałbym jej nigdy, rzekł gorąco Bieniał, ale... nie wiem czybym miał siłę iść dalej tą lub jakąkolwiek drogą.

Nastąpiła chwila milczenia, przerywana tylko trzaskiem płomieni, obejmujących głównie na kominku. Nagle Wolski zwrócił się do Bieniała.

— Winienem ci wyznanie za wyznaniem. Nie zrobiłem tego dotąd, bo sam przed sobą zaprzecić się chciałem uczucia, które mimowolnie wkradło mi się do piersi. Położenie moje było rozpaczliwsze od twego, bo tobie nic nie wzbrania kochać, a mnie wzbraniał obowiązek. Teraz szczególnym zbiegiem wypadków położenie to zmieniło się; nie jestem już w ten sposób skrupowany, ale mimo to, równie jak ty, daleki od urzeczywistnienia moich marzeń. Będę stale i rozważnie budował przyszłość; gdyby mnie jednak spotkał zawód, nie poddam się rozpacz. Chciałbym tę samą moc widzieć i w tobie.

— Ach, tajemniczy, zimny filozofie! Więc i ty jesteś człowiekiem? wykrzyknął Bieniał. Ale jakże mogłem wątpić o tém? Kto tyle uczucia okazał w przyjaźni, kto tak gorąco społeczeństwo ukochał, czyż może zasługiwać na nazwę zimnego filozofa? czyż może nie odczuwać tego, co serce człowieka czuć potrafi? Powiedz mi wszystko.

I Bieniał rzucił się w objęcia Wolskiego.

Józef opowiedział pokrótce, w jaki sposób braterski stosunek z kapryśną trochę kuzynką, niezmiernie zmienił się w miłość; jak zerwanie Róży z Tomaszem oswobiło go z przymusu i napełniło przecuciem szczęścia, którego nie śmie urzeczywistnić, powodu nieodpowiedniego stanowiska jakie dotąd zajmuje.

— Twoje widoki są teraz nieskończenie lepsze od moich, powiedział Bieniał. Zdaje się że jesteś kochany, a to rzecz główna. Co się tyczy stanowiska, to po wytrzymaniu jeszcze z jaki rok nowicyatu, możesz zostać przedsiębiorcą na własną rękę, co przy twojej nauce zapewni ci wcale niezłą przyszłość. Ale byłeś w trudnym bardzo położeniu, a nie upadłeś. Dziękuję ci za ufność; będę i ja silnym.

— No, rzekł Józef wstając od kominka, pracowaliśmy trzy dni z rzędu jak benedyktyni, myślę że mogliśmy dziś dać sobie odpoczynek i zajrzeć do naszych bogdanek. Jak radzisz?

— Doskonały pomysł. Wistocie, czuję się trochę znużonym, potrzebuję odmiany, orzeźwienia.

Toaletowe przybory młodzieńców niewiele zabrały czasu. Za chwilę ciemno było w małym okienku, tak regularnie zwykle błyszczałem w długie zimowe wieczory.



## XX.

Kiedy Józef wszedł do znanego nam saloniku państwa Machowskich, zastał towarzystwo domowe przy okrągłym stole, panią radczynię na kanapie z drutami w ręku, pana radcę w fotelu, dalej Różę z jakąś robotą, a przy niej dzieci. Nic się na pozór nie zmieniło; brakowało tylko Tomasza na zwykłym miejscu.

Tomasz bywał jeszcze przez jakiś czas u Machowskich, usiłując przełamać grymas, jak nazywał odmowę swojej narzeczonej, w czem mu rodzice jej szczerze dopomagali; powoli jednak, dotknięty lekceważeniem tak znakomitego jak on konkurenta, coraz rzadziej zaczął się pokazywać, aż nareszcie zupełnie znikł z horyzontu, ku wielkiej pociesze Róży, a zmartwieniu pani Machowskiej, myślącej już nad tem jedynie, jak pieniądze odebrać. Ale pan radca, mimo że zawsze sławił swoją energią, nietęgi był w praktyce interesów. Raz czy dwa razy atakował Tomasza w biurze, a otrzymawszy niepewne obietnice i wykryty, poprzestał na tem, odkładając dalsze kroki do stanowczego ugruntowania swego zdrowia, co wkrótce miało nastąpić.

Oprócz ubycia Tomasza, uderzały jeszcze i inne zmiany w tem kółku. Przeobrażenie wewnętrzne jakiemu uległa Róża, zwolna wytworzyło i zmianę w życiu domowem całej rodziny. Dla niej to przecie poświęcającą się matka urzędowała w domu przyjęcia świetne, lub szukała rozrywek poza domem; dla niej ponosiła ciężar długów, pracy, czasem niedostatku, byle tylko blask córki przypomniat świetne czasy młodych lat matki. Teraz Róża stanowczo wycofała się z szumu zabaw, ograniczając swoje rozrywki na bardzo szczupłym kółku najbliższych znajomych.

Czas wolny od zajęć domowych, poświęcała książkom. Najprzód ze zdumiwającą cierpliwością przewertowała wszystkie książki szkolne swego małego braciszka; następnie, nabywszy u antykwaryusza książki dla klas wyższych przeznaczonych, zasiadła nad niemi do formalnych studiów.

— Co ci znowu za uczoność weszła w głowę, moja Róziu, zapytała matka, wzruszając ramionami.

— Oto, moja mamó, sądzę że od przyszłego miesiąca możnaby podziękować panu korepetytorowi, który i tak dosyć niedbale zbywa swoje godziny; ja Stasiowi sama będę pomagać. Zobaczysz mama, że daleko więcej skorzysta.

— A tak, przysposabiaj się na guwernantkę, kiedy ci się podoba zostać starą panną. Niezawsze będziesz miała chleb u rodziców.

Nie zrażając się wymówkami matki, przeprowadziła Róża swój projekt, z widoczną korzyścią dla Stasia. Do uczenia młodszej siostrzyczki wzięła się też z wielką gorliwością. Przeglądała książki elementarne u znajomych, wypytywała się osób obeznanych z literaturą i pedagogiką, a następnie wybierała w księgarni stosowne dzieła, czy to dla siebie, dla dalszego kształcenia się, czy też dla młodszego rodzeństwa. Tak, obrawszy sobie cel nowy, poświęcała mu się z całą gorliwością. Wkrótce, po przełamaniu pierwszych lodów, bystry i giętki jej umysł zagustował w tych zajęciach; dziwiła się nieraz, że owe książki, które dawniej wydawały jej się tak nudnymi, tyle mogą sprawić rzeczyciwistę rozkoszy. Najwyższego jednak zadowolenia źródłem było dla niej uczucie spełnionego obowiązku i świadomość że pożyteczną jest w domu.

Otóż gdy po półtora miesięcznej przerwie, Józef poraz pierwszy zjawił się u Machowskich, zastał Różę przy szyciu, tak swobodną i wesołą jak zawsze. Niepomału jednak się zdziwił, gdy po pewnym czasie Staś przyszedł wydawać lekcję, a Róża poprawiała wszystkie omyłki swego braciszka w deklinacjach łacińskich, nie zaglądając sama do książki.

— Ależ kuzynko, zkąd to ta łacińska uczoność? zawołał.

— Cóż dziwnego? Jeżeli możemy nauczyć się po francuzku i nieraz lepiej od was, moi panowie, dla czegożby łacina miała być dla nas jakimś niezdo- bytym szańcem, przystępnym tylko dla męzkiego umysłu?

Józef w zart obrócił rozumowania swojej kuzynki, nazywając ją Różą łacińską, ale szczegóły po szczególe chwytając, spostrzegł jaki stanowczy zwrot przybrał umysł dziewczycy. Pod taką siłą charakteru zaczął podejrzawać się uczucia, ale dla kogo? czy dla niego? To przypuszczenie nabawiało go takiego zawrotu głowy, takie marzenia szczęścia budziło w jego duszy, że nie śmiał się niemi pieścić. A jednak wracało ono coraz silniej, coraz pewniej; całe postępowanie Róży, jej słowa, jej spojrzenia mimowolnie wyjawiały jej tajemnicę.

Dowiedziawszy się że Tomasz nie przełamał dotąd uporą Róży, zaczął Józef nieco częściej pojawiać się w domu radczostwa, o ile mu tego praca w warsztacie i zajęcia z Janem dozwalały. Pomagał Róży w wyborze książek, prowadził z nią rozmowy, czasem poważne, czasem żartobliwe, a za każdym razem odkrywał nowe skarby serca i umysłu, pokryte dotąd jakby skorupą błahych nawyków. Wkrótce rozumieli się oboje, pewni wzajemnej miłości, choć nigdy słowo *kocham* z ust ich nie wyszło.

Wieczorem dnia owego po rozstaniu się z Bieniakiem, Józef, wszedłszy do saloniku Machowskich, spostrzegł na twarzy pana i pani domu jakby smutek czy kłopot. Tylko Róża wydawała się weselszą niż zwykle.

— No, usłyszysz nowinę, rzekł radca.

— Słucham, mój wuju, a dobrą?

— To już sobie tłumacz jak chcesz. Bardzo zasmuconych nie widzę tutaj, rzekł, spoglądając na córkę.

— Tomasz się żeni, dodała matka.

— Żeni się? z kim? zapytał Józef nieco strwożony.

— Pewno nie zemną, odpowiedziała Róża, z czarnym uśmiechem podnosząc głowę.

— Proszę, tak prędko sobie wyperswadował, rzekł Józef, któremu już teraz obojętnem było z kim się żeni jego dawny towarzysz.

— Świetną robi partyą, ciągnęła dalej matka, mimowolnie wydając westchnienie.

— Cóż tam tak świetnego? odparł radca. Panna ma lat trzydzieści i wcale nieładna; widziałem ją nieraz.

— Tak, ale jest córką prezesa i wielki ma posag, Tomasz niezadługo zostanie takim radcą jak i ty, rzekła matka, widocznie zgnębiona karierą swego niedoszłego zięcia.

— Czy to już rzecz pewna, czy tylko pogłoska? zapytał Józef.

— Zupełnie pewna, bo ślub ma się odbyć jeszcze w tym tygodniu, za dyspensą, po modnemu. Chowano to w wielkiej tajemnicy, jak gdyby im kto chciał przeszkadzać. Dopiero dziś w biurze maż się dowiedział.

Józef rozpoczął prawić obszernie o tem, co on nazywał świetną partyą i co wręcz było przeciwne znaczeniu zwykle przywiązywanemu do tego wyrażenia. Świetną partyą, zdaniem jego, było to znalezienie sobie towarzyszkę życia obdarzoną wysokimi przymiotami umysłu i serca, niewiele się różniącą pod względem wieku, stanowiska społecznego i majątkowego, kochanej i kochającej nawzajem. Wymownie wykazywał szczęście, wypływające z dobrania tych warunków, a fatalny rozstrój małżeństw, skojarzonych rachubą, niepołączonych sympatją dusz. Różnice społecznego stanowiska i majątku dają się czasem szczęśliwie zatrzeć, przy zgodzie uczuć i wyobrażeń, ale bez tej zgodności, nieuchybnie obracają się na zgubę spekulantów, niebiorących swego serca i serca przyszłej żony w rachunek. Albo następuje gwałtowne zerwanie, albo trąd moralny kazi nową tę rodzinę przybyłą społeczeństwu, czyni ją gniazdem istot znikczemniałych moralnie, najczęściej w drugim już pokoleniu tracących majątek nikczemnością zdobyty i ginących w szumowinach społecznych.

Jakkolwiek filipika Józefa wydawała się pani Machowskiej trochę zagorącą i *zaksiążkową*, słuchała jej chętnie, przywtarzała nawet, pocieszając się *filozofią* po zawiedzionych nadziejach, a głównie smutnym losem, jakiego prawdopodobnie dozna Tomasz. Przywtarzał i pan radca, opowiadając znane sobie szczegóły charakteru panny prezesówny, odznaczającej się pięknym talentem muzycznym, ale obok te-

go niesłychaną zarozumiałością, samowolą i pańskimi wymogami. Róża, z oczami wlepionymi w Józefa, z prawdziwą rozkoszą słuchała jego obro- ny wolnego wyboru serca, a anegdoty ojca o preze- sównie-artystce wielce ją rozweselały.

Oczarowany, szczęśliwy, wracał Józef do odległego swego mieszkania. Widzieć Różę, z nią mówić, stało się teraz potrzebą jego życia. Czuli się tak szczęśliwym, że nawet nie kłopotał się swoim zbyt skromnym stanowiskiem i zbyt odległym widokiem w przyszłości. Należało bowiem nietylko zwyczajny patent majstra ciesielskiego uzyskać, ale trzeba było w tym zawodzie koniecznie dojść do pewnego stopnia za- możności i rozgłosu, chcąc skutecznie złamać prze- sądy rodziców i ogółu świata. Ale Józef na te na- suwające mu się uwagi odpowiadał: jakoś to będzie. Rachował na objawioną już stałość charakteru swęj ukochanęj.

Wesołe to usposobienie znikło, gdy tylko Józef przestąpił próg swego mieszkania. Zastał Bienia- ka w głębokiej zadumie, z głową podpartą obu rękami, z wyrazem boleści na twarzy.

— Co się stało? zawołał Józef.

— Nic, odrzekł Bieniak. Nie posłuchalem twęj rady, oświadczyłem się i dostałem odkosza.

Długie milczenie nastąpiło po tem zwięzłym obja- śnieniu. Wolski czuł że bezskuteczne byłoby w tej chwili wszelkie pocieszenie przyjaciela, a natręctwem wypytywanie o szczegóły. Nareszcie, po kwadransie milczenia, Bieniak powstał, przeszedł się kilka razy po pokoju i rzekł, stając przed Józefem:

— Nie mogę tu dłużej pozostać. Na jaką dro- gę wszedłem, taką muszę iść dalej; choćbym nawet nie osiągnął celu, okazać, że go byłem godnym. Jadę do Paryża kształcić się dalej.

— A warsztat? zapytał go Józef po chwili namysłu...

— Zostawię go pod twoją opieką. Puchalski będzie ci pomagał, dopóki nie dostaniesz kwalifikacyi na majstra.

— Twoje interesa materyalne ucierpią na tem. Warsztat w takich warunkach nie będzie dawał ko- rzyści, a zresztą o czemże będziesz żył w Paryżu?

— Postaram się dzielić czas między pracę umy- słową i zarobek.

— Nie czyni tak nagłych postanowień. Dziś zbyt wzruszony jesteś mój drogi, radził Józef, biorąc go za rękę.

— Nie, postanowiłem to z rozwagą, a miałem cały wieczór do myślenia. Nie widzę cobym inne- go miał teraz ze sobą robić.

Przeszedłszy się kilka razy po pokoju, mówił da- lej spokojnie:

— Rozstawszy się z tobą, dążyłem do Strzemskich. Los chciał że spotkałem Ewę, wracającą do domu; szliśmy razem. Była tak uprzejma i wesoła, przy- jęła moje ramie:—uległem pokusie i powiedziałem jej że ją kocham. Zrobiła się bardzo poważna i smutna, prosiła mnie żebym pozostał jej przyja- cielem, tak jak ona czuje przyjaźń dla mnie, ale nic więcej.

— Czyż nie mógłbyś i tu kształcić się dalej, a jednocześnie zabezpieczyć się majątkowo? zapytał Józef.

— Nie, nie mogę tu dłużej pozostać: dusi mnie tutejsza atmosfera. Nie namawiaj mnie, drogi przy- jacielu, bo to napróżno.

Józef uległ, widząc silne postanowienie Bieniaka. Zresztą projekt świadczył o sile ducha, nie o rozpa- czy i upadku, a tych ostatnich tylko obawiał się Józef z początku rozmowy. Zmiana miejsca była Janowi potrzebna, a straty materyalne nie były nie do powe- towania.

W kilka dni potem, Bieniak rzeczywiście opuścił Warszawę, a Wolski objął zarząd warsztatu, pod o- pieką starego Puchalskiego.

(Dokończenie nastąpi).